

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 19 MARCA 1927 ROKU

NR 12

TREŚĆ NUMERU: Współzycie społeczne a kultura — *C. Walewska*. Górnoślązaczki. Jak grać Szopena? — *J. R. Wiersze*: „Starość”, „Jesień”, „Milczenie” — *Felicja Kruszevska*. Święta prowincja — *M. Crnjanski* — w tłumaczeniu *M. Znatowicz-Szczepańskiej*. Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.) — *Helena Ceyringerówna*. Hetman złotobrody i władczyni Libanu (c. d.) — *Karolina Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z książek — *C. r.* Z teatrów — *Z. P.* O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé*. Zdobienie roślinami mieszkań i stołów jadalnych dawniej i dziś — *Ob.* Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach — *Dr. med. Julja Świtalska*. Nie marnujmy czasu daremnie — *W. Z.* Na marginesie kursu normalizacji gospodarstwa domowego — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Przykazania. Suknia haftowana paciorkami. Ranne pantofle. Dodatek powieściowy: W saloon'ie „Pod czerwonym psem” — *G. N. Ordon*. Arkusz wzorów.

WSPÓŁZYCIE SPOŁECZNE A KULTURA

W swoim doskonałym artykule „Homo homini upus”¹⁾ przypisuje p. Stanisław Czosnowski wielkie znaczenie dobroczynnemu działaniu kultury na stosunki ludzi wzajemne. „Jeżeli nie toruje ona dróg do pełnego zrozumienia, to zawiesza nad głębiami dusz ludzkich mosty wzajemnego wyrozumienia, większego, niż wśród ludzi niekulturalnych”. P. Czosnowski wykazuje w stosunkach społecznych dążność do coraz większej odpowiedzialności za bezwzględne potępianie czynów ludzkich, co uwidoczni się w złagodzeniu prawodawstwa karnego dni dzisiejszych, w porównaniu z prawodawstwem karnym średniowiecza.

Właściwie, zajmwszy stanowisko nietscheańskiego „Jenseits des Guten u. Bösen” (Poza dobrem i złem) trzeba by żądać zupełnej bezkarności. Każdy czyn ludzki bowiem, nawet zbrodnia, jako wynik działania zatajonych w głębi duszy sił dynamicznych, wyładować się musi. No, ale ponieważ wywołałoby to bezprzykładną anarchję, należało poprzestać tylko na możliwie skrupulatnem liczeniu się z psychiką człowieka przy wydawaniu wyroków. W tym kierunku postęp jest aż nadto widoczny. Nie mamy już tortur dla nieszczęsnych psychopatek, które, jako czarownice, palono na stosach. Nie mamy więzień dla warjatów, leczymy ich w możliwie wzorowo urządanych zakładach, nie skuwamy w łańcuchy, nie wrzucamy do nor wilgotnych, gdzie głodne szczury wygryzały im z rąk i nóg żywe ciało w średniowieczu.

Technika wynalazków—koleje, samochody, samoloty — zbliżyły ludzi różnych krajów do siebie. Powstało ciągle przelewianie się, przesiąkanie — osmoza i endosmoza obcych żywiołów, co zewnątrznie upodabnia jednych z drugimi. Francuz, Niemiec, Polak, Anglik, Holender nie różni się na wielkich traktach międzynarodowych krojem smokingów, kształtem lakierków, trzymaniem noża i widelca, gładkością wygolonych policzków, formą ukłonów i innych norm kodeksu towarzyskiego. Ruch wielkomiejski niweluje wybryki indywidualnych odrębności. Żeby nie nacierać na siebie w rozpędzie pośpiechu, trzeba trzymać się prawej i lewej strony chodnika. Żeby nie wpaść pod samochód, lub tramwaj, należy baczyć na wskazówki policji. Żeby nie gniesć sobie żeber przy okienkach pocztowych, biurowych, kolejowych, musi najbujniejszy „odmieniec” przestrzegać kolejki w ogonku. Strychuje nas, wtłacza w jeden szablon, pęd nowoczesnego życia, ujęty w ramy zwyczajowej kultury. Wieśniak po parotygodniowym pobycie w stolicy musi nauczyć się chodzić, jak urodzony mieszczuch, żeby nie zdeptała go fala ludzka, albo nie najechał samochód, tramwaj, dorożka.

Więc zewnątrznie — cudzoziemski globtreter, czy swojak z najodleglejszych kątów prowincji podszyci są pod jedne kanony współobcowania. Ale wewnątrznie...

Dziki chunhuz nie potrafiłby chyba zdobyć się na większe barbarzyństwo od kulturalnego prusaka,

¹⁾ „Bluszcz” Nr. 8 z r. b.

który jeszcze przed trzynastu laty łamał zebra dziecku polskiemu za pacierz polski. Wybijał zęby rodzicom, którzy ujmowali się za niem. Wyrzucał ojca — karmiciela rodziny z fabryki, biura, kopalni na mróz, na głód, dopóki nie ugiął się przed pałką i pięścią zaborczą. — Przedwspółczesny anglik, zimny, opanowany w każdym calu gentleman, potrafi być okrutnym nie tylko względem znieawidzonego cudzoziemca, który mu zawadza, jako niewygodnie wklonowany sąsiad, ale nawet względem współrodaków, uwielbianych przez cały świat.

Byron za swoje nieprawidłowe stosunki rodzinne, za które, zdawałoby się — on sam tylko powinien odpowiadać przed Bogiem, własnym sumieniem i ludźmi, został skazany na wygnanie. Z tych samych powodów padły wyroki na czciciela piękna, romantyka - odmieńca Wilde'a, którego bajki nie przestaną być nigdy źródłem najczystszych, najszlachetniejszych wskazań, i uniesień, a który w życiu realnym nie umiał, czy nie chciał zachować pozorów ogólnie obowiązującej etyki obyczajowej. Przewiezienie go do więzienia Reading Gaol na lat kilka wydało się sędziom niedostateczne. Skutego w kajdany, wyprowadzono na jakiejś stacji w czasie dłuższego postoju, żeby oplwał go i zelzył tłum zbirów, mętów społecznych. Pół godziny stał pod pręgierzem. Pół godziny musiał wyczuwać razy pięści doskakującego motłochu. Pół godziny słuchać cynicznych wrzasków, pogróżek, wymysłań.

Lata minęły, a codzień w godzinie, kiedy to się stało, przechodził wielki poeta mękę swego pohańbienia. Padał na ziemię ponurej celi więziennej i zalewał się łzami.

Być może, kara padła z niewiadomych wyższych wyroków. Być może, anioł stróż chciał, żeby pogrążony w zmysłowych rozkoszach światowiec odnalazł duszę swoją i stał się prostym, jak dziecko, wierzącym, w Golgotę Chrystusa przez swoją własną mękę wprowadzonym. Dosyć było złudy najcudniejszych miraży. Anioł Stróż powiał czarno-białą chustą i spłynęła spowiedź ducha, jakiej nie znał świat. „De profundis... Akt skruchy, który stał się aktem wtajemniczenia i — najświętszą chwilą życia. Być może, byłby kochał Wilde już zawsze tylko zewnętrzny urok słońca, morza, kwiatów. Być może — ah, nie byłby wypracował, wykończył się sam w sobie. Byłby zeszedł ze świata w zbytku bogacza, gdy Chrystus kocha tylko biednych. Byłby nigdy nie napisał swojej radosno-żałobnej spowiedzi nawrócenia — ewangelji tych, co długo szukali sami siebie, zanim się odnaleźli.

Ale nie pedagogia i nie jasnowidzenie skruchy skatowanego serca kierowało rękami sędziów, podpisujących wyrok. To był sępi pazur, z którego spadły jedwabne pochwy kultury.

* * *

Wojna zerwała tamy i więzy form zewnętrznych trzymających na wodzy brutalne instynkty. Rozpętało

się zwierzę ludzkie i tam, gdzie nie uczono go chodzić po równych drogach, i tam, gdzie omijanie przepisów groziło karą policyjną. Pławiła się we krwi czczycajka, pławił — kulturalny człowiek zachodu. Turek, Tatar, Mongoł nie rzucił w gruzy tylu cudów sztuki, ile ich zatraciła gruba Berta. Nie utrupił w jednej sekundzie tylu tysięcy żołnierzy, ile ich zmiotł gaz trujący — wykwit najwyższej cywilizacji, plon zdobyczy uczonych, chluba techniki wynalazków XX wieku.

Wyszła w polskim języku książka, o której nie rozpisala się prasa, nad którą do porządku dziennego przeszło społeczeństwo, a która stanowi jeden z najciekawszych przyczynków do dziejów rozpętania okrucieństwa rasy, stojącej na szczytach kultury. Napisał ją pod obcym tytułem²⁾ polak, zagnany przed wybuchem wojny do Persji w sprawach handlowych i tam wzięty do niewoli przez anglików. Nigdy nie dowiedział się, zaco? — Podobno przyszedł rozkaz dostarczenia 60 ludzi, jako niebezpiecznego żywiołu bolszewickiego. Więc złapano pierwszych lepszych, na hurra, i złożono konwój, strzeżony przez wyrafinowanych okrutników angielskich i łagodnych, rycerskich persów. Trzymani na arkanach, jak zwierzęta, sadzani w czasie postoju ze związanymi nogami na ziemi, przykrywani na noc brezentem, pod którym dusił się na śmierć, kto słabszy, podlegali przy badaniach tortur, o jakich nie śniło się w więzieniach i cytadelach rosyjskich, przez które przechodził Schmidt za lat młodych. Oficer angielski, gentleman w skrojonym bez zarzutu mundurze, kazał dawać najbardziej znieawidzonym przez siebie jeńcom żywność na brudnych talerzach psa swego, Forsajta. Osłe pęta wierały im się w ciało. Ciężko chorem grozono, że zastrzeli się ich, jak psów, jeżeli dalej będą udawali. Do furgonów, które jechali, gdy już iść nie mogli, wrzucano im wychudłe, nie karmione, nie pojone kozy, żeby kopały ich, deptały po nogach i bodły. Gdy wybuchła dyzenterja, zdrowi, skuci z chorymi, — po czterech — musieli zrywać się co kilka chwil w nocy i wlec ku miejscom wyznaczonym.

Gruba książka o 300 stronach — notatnik Szmida, cudem ocalony, pisany na każdym postoju, w każdej chwili, gdy ukryć się za czyjemi plecami było można, jest jednym obrazem niewymownych tortur.

Ktoś z eskorty — krajowiec — dozorca, pers, czy hindus, przyparty do muru pytaniem, które żarło mózg jeńców, jak głodny robak, za co ich męczą, za co wloką światami na uwięzi, jak dzikie bestje, — odpowiedział krótko, twardo: „Anglik, jeżeli robi raz pomyłkę, nie cofnie się — musi ją doprowadzić do końca“.

Doprowadził. Jakim ciągiem coraz dokładniej obmyślanych środków udręczeń, — nie wiemy. Miał wyjść drugi tom opowiadań Schmidta — nie wyszedł.

²⁾ „On his majesty service“ przez Mieczysława Schmidta. Warszawa. Nakładem księgarni Wendego.

Miał wyjaśnić, kiedy, które, w jakich warunkach wrócił do kraju polski jeniec, — nie wyjaśnił. Ale to, co już napisał M. Schmidt, stwierdza dostatecznie, że gmach kultury, wznoszony wiekami, potrafi runąć za lada usunięciem się dwóch, trzech belek, które go podtrzymują.

* * *

Opanował duszę niemiecką przed wojną wszechwładny monizm Ostwalda — materialistyczna wiara w chwilę teraźniejszą, nic pozatem. Niema życia przyszłego. Niema zaświatów. Jest mocna, twarda, wszystkimi zmysłami uchwytana, doczesność. Dla niej trzeba pracować. Dla niej budować drogi, mosty, gmachy najwspanialsze. Dla niej starać się o dobrobyt, wygodę, radość i rozkosz użycia. Suchy materializm, głoszący, zamiast kazań kościelnych, w południa niedzielne*). Nauka, kultura — w jego służbie, a pięść bezpardonowa — w obronie. Nie dać sobie odebrać niczego, zgarniać do siebie, co się da, pić nektar chwili, bo poza nią — nic. Wojna — dla tego zysku doraźnego, dla pewnego, niezłomnego, bezsprzecznego zwycięstwa.

A we Francji — w tym czasie pouczał Bergson, że jesteśmy ślepi, głusi, niemi, bo pusta w sobie zjawia ta, którą chwyta wzrok, słuch nasz, a słowo — czczym oddźwiękiem prawdy wewnętrznej. Mózg zabija czar, cud intuicji. Wichr twórczy rodzi gatunki. Wichr — genjusz życia — muska nas falą rozpędu, ale zacielesny nasz dotyk, żeby go wyczuć. Niekiedy z niewiadomych głębin tryska uświadomienie i znika. A my znowu stajemy się ślepi, niemi, głusi. Jest poza zjawą widomą inna — są zaświaty. Nasze życie realne —

odprysk wielkiej tajemnicy — pędzi z wichrem ku jemu tylko wiadomym celom. Nie dla znikomego dziś pracuje się, tworzy, zabiega. Dla tego jutra, które jest, jak zasłonięty obraz w Sais.

W wielkiej wojnie zwyciężył naród idealistów Bergsona. Zmilkła gruba Berta. Usiłuje wyciągnąć ją ze składu rupieci chaos powojenny. Grozi, celuje, mierzy głuchy pomruk. Z wrzawy hasel, z pstroka-cizny chorągiewek, szyldów, etykiet, nalepek, z licytacji programów, z jarmarku partyjnych i międzynarodowych obozów już wyłaniają się widma zapasników. Ostwald i Bergson? Skrajny materializm i prawie transcendentalny idealizm?

W polityce — raczej to pierwsze. W życiu prywatnym — ani jedno, ani drugie. Jakiś fantastyczny zlepek doktryn, teorii, wiary, niewiary, okultyzmu, nihilizmu, chaos, anarchja prawd, bezdogmatyzm, nad którym góruje szal, bezrozum, ślepa żądza użycia.

Dla zdobycia motocyklu, lub domu własnego, lub kilku tysięcy — zabija brat brata, żona męża, syn ojca.

Kultura społeczeństw spadła do zera. Sępie pazury wyszły z pokrowców jedwabnych. Chodzimy wprawdzie, jak przedtem, po lewej i prawej stronie gładkich betonów. Nie jadamy ryby nożem. Zostawiamy damom pierwszeństwo przy wchodzeniu do salonów, — ale szczeka w nas, wyje, ryczy zwierzę dra-pieżne i uniemożliwia współżycie jednostek, narodów. Dziki ferment burzy każde dobre poczynanie. Uczony i analfabeta, jedną turbiną porwani, nie wiedzą, dokąd pędzą, gdzie się zatrzymają?

C. Walewska.

*) Ostwald „Monistische Sonntagspredigten“.



GÓRNOŚLĄZACZKI

Widziałam je po raz pierwszy na ulicach Warszawy w tym czasie, z którego pochodzą widoczne jeszcze gdzieś na murach, wyblakłe napisy: „Nie damy Górnego Śląska!“ „Ratujmy Górny Śląsk“.

Szły długim szeregiem, w swoich ciemnych „jaskach“, „kieckach“ i „zapaskach“, w chustkach, lub szalach, niezwiązanych pod brodą, według śląskiej mody, na gładko zaczesanych, równo rozdzielonych włosach — bezbarwne, poważne, skupione, a przejęte doniosłością dnia.

Przechodnie przypatrywali się im ciekawie, a gdy zatrzymywały się przed jakim gmachem, lub na

przystanku tramwajowym, otaczali je kołem i zagadywali o różne rzeczy, wsłuchując się w ich gwarę. „Po polsku mówią — i zrozumieć można“ — dziwili się niektórzy.

Odpowiadały chętnie i śmiało, a rozglądały dokoła siebie z podziwem i zachwytem. Boć im „Miemcy wdycki¹⁾ godoli, a cyganili, że w tej Polsce ludzie są ciemne, chachary takie, ciarachy²⁾), że tam żadnej kultur niema i nie było“.

¹⁾ Zawsze.

²⁾ Nędzarze, oberwańcy.

A tu, w tej Warszawie wszystko takie „piękne“, „wyrchtowane“, i domy, i ogrody, i „teatr“, że gdzie tam Gliwice, albo i Bytom! A co kościołów, i to takich starych, że może i „Miemców“ na świecie nie było, jak toto „wyonaczyli³⁾“.

Do każdego kościoła musiały zająć, przed każdym ołtarzem uklęknąć, wypytać o wszystkie cuda i o świętych, a w końcu—ile też taki kościół razem z obrazami i figurami kosztował... marek? A ile warta cała Warszawa, ze wszystkiem, co jest w zamku, w muzeach i w sklepach? Czy możnaby ją kupić za wszystkie kopalnie i huty śląskie? Badały ceny produktów spożywczych i cieszyły się, że wszystko jest tańsze, niż u nich i że będą mogły teraz już śmiało „sprzeczyć ty kłamstwa miemieckie o tej biednej Polsce“.

Zapaliłam się do nowopoznanych rodaczek i przez czas jakiś oprowadzałam „wycieczki“ po stolicy, bywałam na wieczornicach, urządzanych dla nich przez komisariat plebiscytowy, wymieniałam adresy i prowadziłam korespondencję z kilkoma dziółkami⁴⁾ z nad Odry.

Były to przeważnie członkinie T-wa Polek, uświadomione narodowo, umiejące czytać i pisać po polsku, a zawzięte przeciwko Niemcom okrutnie.

„Żeby pani wiedziała, co to za życie między taką hołotą z e c“—skarżyła mi się jedna z nich w liście. Niedawno, na wiecu jeden z naszych został okrutnie zbity. „Naprzód go jeden heimatstreuer piznął⁵⁾ laską w głowę, aż tyn się przewrócił, a potem to się tak z nim pastwili, jak bydło, które, niemając rozumu, jest wyrozumiejsze od nich“.

Na jednej wieczornicy dwudziestoletnia dziółka, wygłosiła mowę pożegnalną. Mówiła mądrze, śmiało i płynnie o tem, że Polska i Śląsk—to jedno, choć się „dużo na takich r y n y g a t ó w natrafi, co ze Śląska pochodzą, Polakami są, a za Miemców się podają“. I o tem, że u nich wszystkie „prawo Poloki“ wierzą, że wrota Ojczyzny rychło się „rozewrą“. Zakończyła, podniósłszy, jak każe ich zwyczaj, prawą rękę wgórze, okrzykiem: „Niech żyje P o l s k o od morza do morza i ze Śląskiem!“ Posypały się rześiste oklaski.

Znalazłam się potem wśród nich, na piastowym i heimatstreuerskim Śląsku. Modliłam się w ich kościele w Piekarach, słynnym z „cudownego obrazu Matki Boskiej, której Cesarz Leopold I ofiarował w XII wieku 14 szafirów, 15 djamentów i naszyjnik z 12 gwiazdami za wybawienie jego ludu od morowego powietrza, do której Tarnogórzanie pielgrzymowali na klęczkach i wypraszały cuda.

Stały obok mnie miejscowe niewiasty w szerokich, marszczonych spódnicach, jak kolorowe abażury, w adamszkowych fartuchach, ciemnych kaftanach, dłuższych ztyłu, haftowanych wdole i jasnych, kra-ciastych, wełnianych chustkach na ramionach; strojne Rozbarczanki, ciemno ubrane, z kilkoma rzędami

korali wysoko na szyi i w czerwonych, jak maki, chustkach nad samemi brwiami, zawiązanych z tyłu na „żyrok“; majestatyczne górniczki z pod Zebna i Gliwic, opięte, niby w ornaty, w wielkie, sztywne, z wytłaczanym lśniącym deseniem chusty „w róg“, (spięte pod szyją, tworzące 2 rogi z przodu i z tyłu). I jeszcze inne, odmiennie ubrane.

Stały wszystkie prosto, uroczyście i cicho,— jak świece, płonące na chwałę Panu Bogu, bezdźwięcznie poruszając ustami, bez szelestu przebierając różaniec. Opuszczały się na klęczki i powstawały bez rozkołysania, zgodnym chórem rozpoczynały pieśni i razem je urywały.

Modliły się z jednakowem skupieniem na surowych twarzach przez całe, nieskończenie długie, nabożeństwo (do 2½ godzin trwa zwykle; nie mogłam już w końcu ani stać, ani klęczeć, bliska niemal omdlenia), a potem niosły na „ofiare“, za ołtarz, gdzie znajduje się puszka na datki, wślad za „chłopami“, jedna za drugą, jak ziarna różańca.

Górnoślązaczka lubi się wymodlić w niedzielę i nie uznaje krótkiego nabożeństwa, „belejakiego“, przy którym faryż „uwija się“, jakby mu dach nad głową „goreł“. Faryża swego „przeżywa⁶⁾“ często, a słusznie, hakatą, bolejąc nad tem głęboko, ale w rzeczach wiary ma dlań karną cześć i posłuch. Odbiło się to fatalnie na plebiscycie, gdyż w okresie spowiedzi wielkanocnej księży w wielu miejscowościach dawali rozgrzeszenie pod warunkiem głosowania za Niemcami. „Rozbark przepadł! Rozbark pod samym Bytomiem, w pobliżu Piekar—taki pewny, murowany, nasz!“ Zdumienie i żal towarzyszyły tej wieści w pamiętny ranek 21 marca 1921 r. „Kobiety zdradziły — faryża usłuchały!“ piorunowali dokoła. Z płaczem wyznawały to potem niektóre, ale cóż miały czynić? Zbawienie duszy jest pierwsze, a faryż ma moc i prawo od Pana Boga.

Na Śląsku oddawna rozwinął się kult Matki Boskiej Częstochowskiej, Która w owej epoce dzielnie nam sekundowała, wzmacniała nasze stanowisko wraz z każdą pielgrzymką. Przed wojną, w czasach ucisku, lud śląski szukał w Niej obrony i pociechy, przynosił ze sobą do domów obrazy, modlitewniki, szkaplerze i śpiewniki, ukrywane starannie i chytrze przed okiem policjanta, rektora i sąsiada—hakaty. Gospodyni moja pokazywała mi wizerunek M. B., przyklejony do muru „na fest“ pod tapetą, gdzie mieściły się dawniej całe kolekcje świętości z Polski.

Mieszkałam w domu górnika w okręgu przemysłowym. „Górniczka“ jest sobie panią, co się zowie. Nie zna pracy na roli, ani obrządków gospodarskich, nawet chleba sama nie piecze—wyrobione ciasto odnosi do piekarza miejscowego. Kuchnia jej jest

³⁾ Wyraz uniwersalny, odpowiednik „wytentegowali“ w gwarze dziecięcej. ⁴⁾ Dziewuchami. ⁵⁾ Uderzył. ⁶⁾ Wymyśla.

niewybredna (wasserzupki, kluski kartoflane, w niedzielę pieczeń duszona i placek z „nakruszką“), więc też najwięcej czasu i energii poświęca porządkom domowym. To też lśnią od czystości wszystkie statki kuchenne, okna, „dzwierze“, znacilo¹⁾, a pokrowce na „rogówkach²⁾“ białe są, jak śnieg. Ujrawszy w pewnej kuchni kilka rzędów półek dookoła ścian, z mnóstwem pudełek i paczek z napisami: cucumber, thee, kaffee, reis, feinste margarine i t. d., zapytałam gospodarza, czy też to wszystko jest napełnione.—Kaj zaś—odpowiedział z uśmiechem—próżne stoi, ale coby ta moja robiła, kiejby tego nie musiała każdy dzień wypucować i na miejsce pokłaść“.

A co za wygody ma taka gospodyni. We wsi ma piekarza, „masarza³⁾“, wspólną maglarnię, kooperatywę, w mieszkaniu — wodociąg i elektryczność. Nie kopci lampa naftowa, nie miga świeca—pstryk!—robi się jasno, i światła tego nie trzeba oszczędzać, bo prawie nic nie kosztuje. W każdej chacie przez całą noc pali się jedna lampka, żeby we wsi nie była „cma“, jak chłopcy z szychty wracają.

Ma jaki pilny sprawunek, lub nagły interes do miasta, już jest „furt“—za kilka, lub kilkanaście minut na przystanku tramwajowym, lub na dworcu „banki⁴⁾“, za pół godziny, godzinę—w Zebrzu. Gliwicach czy Bytomiu. Ma czas na przeczytanie gazety i na pracę w „Towarzystwach“.

Ubiera się z miejska (strój narodowy wkłada tylko do kościoła i to nie każda) i wynosi się nad kobietę wiejską, chłopiankę, co się papra w „marasie⁵⁾“, glinie, lub lichym piasku, chodzi koło krów (tej krowy jej trochę, coprawda, górniczka zazdrości) i nosi szeroką kieckę, zapaskę i jakłę.

Miałam z tego powodu nieporozumienie w pierwszych dniach mej pracy. Po egzaminie wstępnym rozsadziłam uczennice moje według stopnia ich przygotowania. Nazajutrz zwraca się do mnie jedna z dziewczynek z zadąsaną miną i oświadcza. że: „Mutter jej powiedzieli, że ona nie ma chodzić na polsko stuude“.

— Dlaczego—wypytyuję—czyżbyście przystali do heimatreuerów?

— A bo druchna mnie posadziła na ławce z Hedwig Kuško, a jej m uter jest wiejska, a moja miejska.

Harde, a wyzywające są górnoślązaczki. „Gorszą się⁶⁾“, gdy rektor za rychło dzieci jej puszcza ze szkoły, bo choć jej „Karlus“ jest „gryfny⁷⁾“, ale trzeba mu naukę fest do głowy nakładać i nie dawać czasu na „smykonie się⁸⁾“.

Przedstawienia amatorskie, widowiska, popisy szkolne muszą być, jak i nabożeństwo, długie, aby się im „zdały⁹⁾“. Jeżeli trwa mniej, niż 4 godziny, jest „nic warte“ i szkoda pieniędzy na bilet.

Dopiero, gdy wysiedzą się, a napatrzą, od 6-ej do 11-ej:—Tośwa „się ucieszyły¹⁰⁾“, fajnie było—mówią rozpromienione.

Mniej, niż nasze kobiety, lubią zejść się, a rajcować, a swarzyć się, choć i wśród nich rodzą się „klachule“,¹¹⁾ co „klachy“¹²⁾ po całej wsi roznoszą.

Są muzykalne i często śpiewają „społem“; każde zebranie T-wa Polek i Sokolic, każda wieczornica, czy tańcówka, zaczyna się i kończy pieśnią.

Zdarzają się im też mniej godziwe uciechy. Na weselach i poprawinach niektóre dużo piją i uważają, że to „idzie“ przy takiej okazji. „Idzie“ być „ozartą“ i, „ochlaną“¹³⁾, tańczyć szybra, a nawet całować mężów... cudzych.

Z wielkiem zgorszeniem, niemal szeptem, opowiadała mi moja zacna gospodyni o pewnej tradycyjnej zabawie w czasie zapust, podczas której są uprawiane różne zdrożności, zapewniała mnie przytem, że w niej żadna porządna kobieta udziału nie bierze, tylko „same takie belejaki“. Wogóle jednak, jak we wszystkich krajach o kulturze niemieckiej, mężatkom bardzo wiele wolno, podczas gdy dziołcha na wszystko musi „dawać pozór“¹⁴⁾.

Do przybysza obcego odnoszą się z nieufnością. Nie dadzą mu nad sobą przewodzić, jakby „swego rozumu nie miały“, bo dość już je „różne takie smyki“¹⁵⁾ z cudzych stron ogłupiali.

Zdarzało się, że ludność postanawiała „wyciepnąć“¹⁶⁾ ze swej wsi przysłaną przez komisariat pracownicę plebiscytową. „Dlaczego, czy źle uczy?—pytano w komisariacie. „A może i dobrze, ale nie chcemy jej; ona nie lo nos, a my nie lo niej“. I już na to rady żadnej nie było.

Należało się liczyć z ich opinią, z tem, co idzie, a co nie, nie narzucać im zgóry swej woli, a bardzo ostrożnie—inicjatywę i, broń Boże, nie okazywać wyższości kulturalnej i towarzyskiej. Niektórzy wpadali nawet w przesadę, opowiadając im, że w Polsce są wszyscy równi, że niema tam wcale panów, tylko sam lud. Nie łatwo było jednak „ocyganić“ ich. „Pani—to musi być z fajnych“—słyszałam nieraz ostrożne badanie. Przypuszczam nawet, że nie byliby zachwyceni, uwierzywszy w chłopską Polskę. Dość im Niemcy nawymyślali od „gemeinów“. Wyższy poziom życia, kulura, imponuje im, mają, jak wszyscy, wrodzony pęd do arystokratyzmu. Zostać na zawsze klasą niższą, choćby w Polsce, nie, toby się im „nie zdało“. Byli ogromnie wrażliwi na te objawy, które stanowią wyższość kultury polskiej w porównaniu z niemiecką. Po „Jasełkach“ Kydla nie chcieli patrzeć na swoje monotonne „Kreize“. Uprzejme, miłe obejście rozbierało ich i pociągało. Kobiety zachwycaly się „modą polską“. Najskromniejszy kapelus, bucik warszawski, gustowna sukienka, były przedmiotem ich

1) Zwierciadło. 2) Poduszkach. 3) Rzeźnika. 4) Kolei żelaznej. 5) W błocie. 6) Gniewają się. 7) Pojętny — jeden z koczokodanów gwarowych z niem. 8) Wałęsanie się. 9) Podobały. 10) Zabawiły. 11) Plotkarki. 12) Plotki. 13) Pijaną. 14) Uważać. 15) Włóczęgi. 16) Wynosić.

szczerego podziwu. „Piękna moda, inaksza, jak tam¹⁾ u nosi“ — wzdychały pobożnie.

Podobały się im różne słowa, zwroty, wyrażenia „czystej polskiej mowy“ i ubolewały nad swoją „szwandrotą“²⁾, Końcówki owa, ówna w nazwiskach, mało dotąd rozpowszechnione, miały dla nich taki urok jakiejś godności, że wkrótce była tam nie tylko pani Pawelczykowa, panna Gwoździówna, ale i Późniskowa i Michalskówna.

Nie wiedziały narazie, jak się do mnie zwracać. „Jak Ich zwać? frelka, albo rehtorka nie idzie, bo to po miemiecku“.

Ostatecznie tytuł „pani“ nie bardzo się przyjął i zawsze było: „kaj uni idom? Mam do onych jedno godke“³⁾ i t. p.

Gdy się zdobyło ich zaufanie i szacunek — dobrze było wśród nich. Na każdą niedzielę miałam parę zaprosin na kawę z nieodmiennym plackiem z nakruszką.

Po przywitaniu: „Niech będzie pochwalony, — na wieki wieków“ uprzejme: „Siednom se“⁴⁾. Gospodarz wyciąga flaszkę najlepszego miodu, lub wina — rozmowa o ostatnich awanturach z heimatstreuerami, o nadchodzącym „plecybicie“ — na pożegnanie: „ta-koż“, lub „toż dowidzenia“.

A te zebrania T-wa Polek, rozpoczynane pieśnią pobożną, a zakończone hymnem: „Nie damy ziemi“, te próby teatralne, wycieczki, popisy sokolic, te tańcówki wreszcie, podczas których musiałam jeden „kęsek“ przetańczyć z każdą z mych uczenic z kursu.

Te wszystkie Klary, Berty, Gertrudy, wpatrzone we mnie, zasłuchane podczas wykładów i na zbiorcach harcerskich, które mnie tak „przały“⁵⁾ i zwały druchną, lub wprost Janką. Dały mi one nie mniej, niż ja im — na całe życie,

Już w Warszawie, po powstaniu śląskim, otrzymałam list od jednej z tych najdzielniejszych, najofiarniejszych. Z okręgu, który pozostał przy Niemcach. „Byłam w powstaniu, opatrywałam rannych i dobrze mi się powodziło, ale Anieli jeszcze lepiej, bo sama dostała „rana“. Bo za Polskę — to choćby ostatnia kropla krwi — to się da z ochotą. I choć się nie bardzo cieszymy, iż do Niemców przypaść mamy, ale będziemy dalej pracować w naszych Towarzystwach, aż i doczekamy, że i my wolne będziemy i z Ojczyzną społeczną“.

Wionął wówczas przezemnie żal srogi, że wrota Ojczyzny poraz drugi się przed nimi zawarły...

¹⁾ Tu. ²⁾ Szwardotem. ³⁾ Rozmowę. ⁴⁾ Proszę siadać. ⁵⁾ Kochały, sprzyjały.

J. Tumińska.



JAK GRAĆ SZOPENA?

Na marginesie konkursu szopenowskiego

Przez szereg tygodni Warszawa, ta niemuzyczna Warszawa, przeżywała szczególnego rodzaju dreszcz muzyczny. Mam na myśli „konkurs szopenowski“, o którym pełno było w pismach codziennych. Pierwotnie zamierzony na moment odsłonięcia pomnika — odwlekl się aż do stycznia i przez ostatni tydzień stycznia i prawie cały luty był niemal wyłącznym tematem ożywionych dysput za i przeciw poszczególnym uczestnikom turnieju muzycznego, później — za i przeciw rozstrzygnięciu sądu konkursowego: Oborin — czy Ginburg?... A tymczasem sala Filharmonji naprzemian za salą Konserwatorium, kiedyindziej obie ziejące rozpaczliwą pustką — poprostu pękały od napływu słuchaczy.

Ten konkurs wysunął na porządek dzienny jedną interesującą kwestję:

Jak należy grać Szopena? Czy i o ile słuszny jest sąd, że niepolacy, lub, powiedzmy inaczej — nie

słowianie nie potrafią Szopena odczuć i oddać dobrze? Problem ten posiada już swoje dzieje, równoległe do rozpowszechniania się kultu Szopena i rozwoju sztuki pianistycznej. W miarę, jak muzyka szopenowska stopniowo zdobywała świat, jak zyskiwała entuzjastycznych, na śmierć w sobie porażonych wielbicieli, propagatorów, wreszcie specjalistów — ulegał też zmianie sposób jej wykonywania. Nie o każdym kompozytorze można to samo powiedzieć. Styl bachowski, czy beethovenowski pozostał od początku ten sam i niewiele pozostawia pola dla subiektywizmu odtwórców. A o sztuce Szopena sędzi się powszechnie, że może być wykonywana tak, jak ją ten lub ów odczuwa.

Pogląd ten wynika, rzecz jasna, z istoty muzyki szopenowskiej. Jeżeli wogóle muzykę uważa się za najsubiektywniejszą ze sztuk, dlatego że tkwi w niej niewątpliwie najwięcej elementu emocjonalnego — to,

w tym sensie Szopen powinien być uznany za najmuzyczniejszego z pośród twórców muzycznych. Jego bowiem muzyka jest idealnej doskonałości i piękności kwiatem ludzkich emocyj. Nie dziwne więc, że obiektywny sprawdzian dobrego, to znaczy, właściwego wykonania, jest tu trudniejszy, niż gdziekolwiek indziej.

Pogląd ten ma, zresztą, także i inne jeszcze przyczyny. Niektórzy literaccy komentatorowie Szopena twierdzą, że on sam grywał w sposób rozmaity, choć zawsze pełen niezrównanego czaru. Nadto, jakkolwiek, jako znakomity dydaktyk, wypuścił w świat wielu doskonałych pianistów, — to przecie nie pozostawił po sobie „szkoły“, nie zdołała się utworzyć jednolita tradycja jego gry. Także i objaśnienia poszczególnych utworów, nawet sposób druku — są do dziś różna: jedna i ta sama np. etiuda inaczej wygląda w wydaniu Mikulego, Kullaka, lub d'Alberta. Każdy z nich na swój sposób przepisuje autentyczny tekst szopenowski.

Przekonanie więc o tem, że „Szopena“ można „grać“ tak, jak go ktoś „odczuwa“, — jest historycznie najwcześniejsze. I ono też było przyczyną maltretowania dzieła twórczego jednego z największych geniuszów muzycznych świata w sposób, który bodaj żadnemu innemu twórcy tak dotkliwie nie dał się we znaki. Subiektywne bowiem traktowanie przeradza się łatwo w najzupełniejszą dowolność. Byli „szopeniści“, a zwłaszcza byli i do dziś zapewne pokutują po „salonach“ „szopenistki“ — plus chopinistes, que Chopin... Nastrojowość i melancholijność tej muzyki stały się w praktyce życia codziennego — przesadnym, do nudności cikliwym sentymentalizmem, czułościowością, która w grze zwykła posługiwać się: płacziwym frazowaniem melodji, nierównym uderzeniem obu rąk, i zupełnie dowolną rytmiką. Jest to dyletantyzm w najgorszym sensie i najgorszego gatunku. Na szczęście, ten sposób „grania“ Szopena jest na wymarcu, przynajmniej o ile o forum publiczne chodzi.

Inny typ wykonawców Szopena, rodzajowo poprzedniemu pokrewny, ale o całe niebo wyższy i mający przedstawicieli wśród najświetniejszych szopenistów przedostatniej doby — to typ wirtuozów nastrojowców. Artysta tego typu potrafi być idealnym tłumaczem muzyki szopenowskiej, gdy mu usposobienie dopisuje. Ale bywa także — wprost przeciwnie, gdy mu „nerwy“ odmawiają posłuszeństwa. Stosunek takiego artysty do wykonywanego utworu jest zasadniczo zmienny, granice tej chwiejności odtwórczej — bezporównania płynniejsze, aniżeli u innych, o innej organizacji psychicznej. Artysty tacy naogół nie analizują, nie zastanawiają się nad wewnętrzną logiką wykonywanego dzieła, ale logikę tę chwytają intuicją, — co im się, oczywiście, nie zawsze udaje.

Przeciwnieństwem jest typ wirtuoza — intelektualisty. Intellektualista — to nie znaczy jednak bynajmniej taki, któremu brakuje „uczucia“. Znaczy to tylko, że jego koncepcje odtwórcze wynikają przedewszyst-

kiem z dokładnego poznania i zrozumienia obiektywnych wartości w muzyce szopenowskiej. Bo przecie one przedewszystkiem rozstrzygają o tem, co w tej muzyce jest niespożyte. Ten sposób pojmowania i wykonywania Szopena jest młodszej daty; musiała go bowiem poprzedzić gruntowna analiza dorobku szopenowskiego, dokonana przez teoretyków, analiza, która wykazała, że genialnej treści odpowiada w muzyce szopenowskiej genialnie dopasowana do niej forma. Uświadomienie sobie tego zmusiło współczesnych szopenistów do traktowania także i szopenowskiej muzyki nietylko pod kątem „bezpośredniego odczuwania“, w sposób subiektywny, ale także, jako dzieł o konstrukcji genialnie logicznej i przejrzystej.

W ramach tej logiki jest jednak jeszcze wiele miejsca na elementy gry, bądź indywidualne, bądź wynikające z nastroju w określonej chwili. Innemi słowy: gra tego rodzaju — to bynajmniej nie koniecznie gra szablonowa, lub pozbawiona bezpośredniego kontaktu z dziełem i — z drugiej strony — z publicznością.

Jako jednego z pierwszych tego typu wymienilibym Józefa Hofmana. Być może, że tu należałoby też zaliczyć Aleksandra Michałowskiego i że tem dałoby się wyjaśnić, iż właśnie Michałowski stworzył szkołę, a nie np. Śliwiński.

* * *

Powyżej staraliśmy się spojrzeć na sposób odtwarzania muzyki szopenowskiej poprzez pewne określone typy wykonawców.

Czy można podać zasady, ogólne wytyczne, jak grać Szopena?

Sądzę, że tak.

Pierwszą, która mogłaby się wydawać oczywistą i dlatego zbędną, gdyby nie była zbyt często gwałcona — jest jaknajwiększa sumiennosc i poszanowanie tekstu.

Tu przypomina się jeszcze jedna species wirtuozów-wykonawców. Są to poprawiacze Szopena, odkrywcy w muzyce szopenowskiej, rzeczy, o których się samemu Szopenowi nie śniło. Pomijam tu otwartych przerabiaczy, improwizatorów na tematy szopenowskie i t. p. Mam zaś na myśli takich, którzy, nie zmieniając poszczególnych nut, ani ich porządku, jednak rozdziałają je i łączą według swego widzimisie. Tak np. słynny, nawiasem mówiąc tylko jako beethovenista, d'Albert przykrawa melodję preludjum Nr. 15, des-dur w ten sposób, że w pewnym miejscu z jednego motywu — otrzymuje dwa. Czasami postępuje podobnie Ignacy Friedman.

Możemy przyjąć jako pewnik, że nie będzie nigdy dobrym wykonawcą Szopena artysta, któryby nie był zasadniczo indywidualnością duchowo Szopenowi pokrewną.

Niech nam się to twierdzenie nie wydaje śmieszne, lub pretensjonalne! Wykonawca, w którego psychice nie tkwią pierwiastki gatunku szopenowskiego, nigdy Szopena nie zrozumie, ani nie odczuje należycie.

Pozatem źródłem wiedzy o tem, jak grać Szopena, jest szczegółowa znajomość jego życia i jego charakteru, posiadanie wyraźnego, plastycznego i możliwie pełnego obrazu duchowej postaci genialnego twórcy. Tę znów znajomość można czerpać zarówno z tego, co nam o nim w słowach przekazano, jak bezpośrednio z jego dzieła twórczego, i bodaj to ostatnie źródło jest najniezawodniejsze. Kto się w muzykę Szopena naprawdę wczuł i wżył, dla kogo stała się ona czemś własnym, jako najistotniejsze przeżycie, dla tego z nut szopenowskich wyłania się postać twórcy tak żywa, jak nie potrafi jej opisać żaden biograf; dla takiego wszelkie przekazy historyczno-biograficzne są tylko obiektywnym sprawdzianem obrazu, który sobie z muzyki szopenowskiej wydobyl samoistnie.

Znajomość sylwety duchowej Szopena poucza nas, że naczelnem wymaganiem, któremu musi czynić zadość dobry wykonawca jego utworów, jest maximum subtelności: subtelności odczuwania i subtelności środków wykonawczych.

Wykonawca z gruba ciosany, wykonawca, posługujący się środkami trywjalnymi, nie powinien Szopena tykać. Nie dostrzeże on, ani nie zdoła wyrazić najistotniejszych i najsubtelniejszych rozgałęzień myśli muzycznej Szopena, jej delikatnej i subtelnej, jak kamea, rzeźby dynamicznej, delikatnego, a urozmaiconego pulsu jej rytmiki. Pianista musi w tym celu dysponować ręką jak stal podatną dla każdej najdrobniejszej intencji, i przede wszystkim uderzeniem miękkim, o rozległej skali modulowania, a tonem możliwie pełnym. Uderzenie i ton — były to elementy techniczne, do których sam Szopen przykładał jak największą wagę. Dlatego nie zadawała go gra n. p. Liszta, lub Hansa Bülowa, mimo że byli to współcześni mu jedni z najznakomitszych wirtuozów, twórcy (szczególnie Liszt) nowoczesnego stylu pianistycznego.

W parze z odpowiednim uderzeniem i z tonem powinny iść lekkość i równość gry: gam, pasaży. Wymagają tego zwłaszcza słynne szopenowskie ozdobniki i fioritury. O ile o technikę chodzi, taką, jak wyżej opisana, dałbym z pośród pianistów ostatniej doby i znanych nam — pierwsze miejsce Mikołajowi Orłowskiemu, uważając zresztą, że interpretacja dzieł szopenowskich pozostaje u tego pianisty w tyle poza jego środkami pianistycznymi. Z produkcji doskonałych Orłowa utkwil mi w pamięci ślicznie pewnego razu wykonany koncert f-mol. Mistrzem wielkiego tonu i słynnym interpretatorem Chopina był w swoim czasie Antoni Rubinstein, a jest dziś — imiennik jego Artur Rubinstein, niezapomniany szczególnie jako wykonawca „Barcaroli“ i poloneza as-dur. Bywały

produkcje Józefa Śliwińskiego, których wspomnienie się nie zaciera. Tak pamiętam jego wykonanie przed laty, paru etiud pośmiertnych: nieskazitelna równość rytmiczna w parze z cudownie subtelną rzeźbą dynamiczną i z lekkością uderzenia dały wtedy w rezultacie wrażenie czegoś nieopisanie czarującego.

Zależnie od rodzaju utworów — główna waga wymagań, jakie muzyka szopenowska stawia wykonawcy, przesuwa się z jednych elementów techniki na inne.

Polonezy muszą odznaczać się potęgą wyrazu i dlatego potrzeba do nich odpowiedniego tonu. Etiudy i preludja, arcydzieła wyrazu skondensowanego w drobnej, zwężłej formie, wymagają przede wszystkim równości i wdzięku, tak, aby wartość ich techniczna nie przesłoniła ich poezji i czaru.

Specyficzną właściwością mazurków, którą musi mieć na uwadze wykonawca, jest ich rytm, zwłaszcza słynne szopenowskie „rubato“. Z trudnościami, które nastęrczają mazurki, może się uporać tylko trafna intuicja artystyczna; ona powinna dyktować wykonawcy, jak w ramach wskazówek, wynikających z tekstu, zmieścić swobodę tempa, rytmu i dynamiki, aby gra nie stała się szablonem. Jako przykład z ostatniej chwili doskonale wykonanych mazurków, wymienilibym produkcję p. Wojtowicza, uczestnika konkursu szopenowskiego.

Celowali i celują tu naturalnie nasi najwięksi szopeniści: Pałarewski, Michałowski, Śliwiński. Artyści obcy z tą formą nie umieją sobie radzić i dlatego, czując się w niej nieswojo, najczęściej poprzestają na skrupulatnem odegraniu tego, co stoi wyraźnie w nutach.

Nie będziemy już szczegółowo analizowali ballad-poematów w większym stylu, i sonat-dramatów, z wyraźnem rozczłonkowaniem akcji, wreszcie małych poemacików, jakimi są walce.

Jedna tylko jeszcze uwaga ogólna: muzyka szopenowska jest z natury swojej muzyką intymną, kameralną. Prywatny, zaciszny pokój odpowiada jej bardziej aniżeli wielka sala koncertowa, z jaskrawem światłem i z tłumami słuchaczy.

Ale gdy fortepian stał się w ciągu ostatnich lat 75 najpopularniejszym z instrumentów, a zarazem gdy pod względem technicznym (budowy) doszedł do szczytu rozwoju i pociągnął na nie za sobą wykonawców, muzyka Szopena, która w tym czasie nie porastała pleśnią, ani nie pokrywała się szanowną patyną, ale przeciwnie, coraz większy wywierała wpływ na współczesnych, musiała przystosować się do zmienionych warunków, musiała przecie z czterech ścian prywatnego pokoju przeprowadzić się, na główne mieszkanie do sali koncertowej; równolegle zaś z tem odpowiedniej ewolucji uległ także i styl jej wykonawczy.

J. R.



FELICJA KRUSZEWSKA.

STAROŚĆ

To nietylko żegnanie i już bezpowrotność,
to nietylko beczucie i bezkolorowość,
lecz wielki, cichy spokój i większa samotność,
błękitność oddalenia i wspomnień liljowość.

Świat nanowo poznany i do gruntu inny,
czas, co cicho upływa i wszystko uleczy,
dla ludzi uśmiech mądry i trochę dziecinny,
szacunek zrozumienia dla umarłych rzeczy.

Tysiąc cudów na ziemi — sto cudów na niebie,
mądrość, która zna wszystko i wszystko uprości,
wiatr pachnący, wiejący już tylko dla siebie
i dobre, ciepłe słońce — radość starych kości.

Prawda, która zastąpi dawnych marzeń zwiewność,
spotkanie Boga w świecie, w człowieku — człowieka
i ta jedna spokojna najpewniejsza pewność,
że wszystko już minęło i że nic nie czeka.

Potem, kiedyś ból nagły, co płuca przewierca,
zdławiony, ciężki oddech, mgła, co wzrok zasnuje
i okrzyk wprost od serca do Bożego serca:
Nareszcie, dobry Boże! Serdecznie dziękuję!

JESIEŃ

Taniec liści szelestny w parkowej alei,
rdzawy odblask na polach chłodny i surowy,
wiatr, co ciągle powraca i ciągle jest nowy —
Gdzież tu szukać najmniejszej chociażby nadziei?

Z szarych suchych grochowiń szeleszczące wieńce,
zwinnych czarnych jaskółek manewry podniebne —
i w dal niebieską nagle wyciągnięte ręce...
Wszystko to takie znane i tak niepotrzebne.

Czerwonych georginij niedyskretne krzyki,
ścielące się po polu do łez smutne dymy,
mokre leśne potworki, rydze, borowiki:
To wszystko takie stare, ośmieszona rymy.

Ziarnami słonecznika napęczniała kieszeń
i ostatnia od lasu osłoda — orzechy,
znużone ciche gesty, słowa i uśmiechy...
wszystko, wszystko jest kłamstwem — prawdą tylko Jesień.

MILCZENIE

Gdy utonę w lenistwie zmęczonem i chorem,
a wszystko weźmie poblask suchych, sypkich liści,
kiedy wszystko przemyśle, a nic się nie ziści —
jak tu zostać wśród żywych i nie być upiorem?

Kiedy się me znużenie na wszystko rozpostrze,
wszystkie ognie wystudzi, a barwy wybieli —
Jakież tu nadać imię, najlepsze, najprostsze
tej reszcie życia, która od śmierci mnie dzieli?

Kiedy już będę cicha, mądra i ostrożna,
bo odbiegna mnie chęci, a słowa zawiodą —
Zamknięcie ust bez krzyku nie jest jeszcze zgodą!
Mój Boże, wszak żyć trzeba, gdy umrzeć nie można.

Gdy cenniejsze nad każdy czyn i nad zdarzenie
będą o śmierć modlitwy i na śmierć czekanie,
z wszystkich rzeczy straconych cóż mi pozostanie?
Ta najlepsza broń ludzi bezbronych — Milczenie.



ŚWIĘTA PROWINCJA

w tłumaczeniu M. Znalowicz-Szczepańskiej

Młodzież śmiała się, raz wesoło, raz niewesoło, ale bezustanku. Wtedy dał się słyszeć jego głos, spokojny, miły i cichy, a jego oczy tak były pełne miłości ku nim, że wstrząsnęli się i zaszeptali: „Słuchajmy Łazy, słuchajmy Łazy.“ I młodzieniec mówił cicho, spokojnie o pustych i porzuconych kościołach, o pewnym sztandarze wojewody Jakszicza, o tęsknocie, która ich zbawi, o starych pieśniach i ewangeljach, a oni słuchali, drżący z zachwytem. Mówił o wioskach, które objeździł, o starych kobietach, miłujących swe niezwykłe „ikony“, o zapachu polnego kwiecia i dawnych obyczajach. Głos jego wzlatywał coraz wyżej i krążył nad ich głowami. W jego niejasnych proroczych słowach mieścił się cały naród: naród nad narodami; mieściła się młodość: sława nad sławami; była przyszłość — boska! Ze słów jego grzmiących wyrażały klasztory i cerkwie, pachniała paproć i zboże. Słowa te podnosiły ich spuszczone skrzydła.

Co znaczą obce szkoły, co znaczą wszystkie nieszczęścia, czem jest granica, peszteńscy ministrowie i generały z Wiednia? Sławił czarne, mocne kobiety, z uniesieniem mówił o piersiach serbskich matek, a oczy błyszczały mu tęsknotą, podobną do warjactwa, głos leciał coraz wyżej i krążył nad słuchaczami. Chwytał ich za serca, przeklinał cały świat, wszystkie narody. Jego tylko naród był mocny, straszny, cudowny! Twarz mówcy płonęła łuną gorączki, a jego długie, chude i blade ręce powiewały w powietrzu. Sławił nieszczęsne pole Kórowskie, wołał, że ból i Serbja są wieczne... Zaintonował wreszcie hymn narodowy. Gdy skończył, rozległ się śmiech radosny, obejmowano go i całowano. Podniosła się w ciemnościach potężna, zwycięska pieśń. Chłopcy obudzili jakiegoś niewielkiego grubaska: był to ich dyrygent.

Pan Pantaleon nie mógł sobie nigdy dokładnie przypomnieć, co się potem stało. Pamiętał tylko, że ktoś zaproponował, aby odśpiewać serenadę pod oknami największej w Europie artystki; pamiętał, że na dworze padał śnieg, że płonęły jakieś pochylone pochodnie, pod którymi mówiono o Mileticzu, że gdzieś tańczono i śpiewano piosnkę o „Procie nihiliście“; że chciał się z kimś bić... że ktoś poił jakieś konie winem... Pamiętał, że stali pod „jej“ oknem i śpiewali: „Dostojno“. Majaczyło mu się, że się z nią całował... To znów przypominał sobie jakiegoś czarnego młodzieniaszka, który go uparcie wyzywał na pojedynek, krzycząc: „Ja nie jestem dla pana ty... proszę mi mówić Wy... ja jestem Antoni Chacicz, wiesz pan, kto ja taki?... proszę mi mówić Wy“... Pamiętał, że przy-

szedł do domu, że bił jakiegoś policjanta... Przypominał też sobie żonę, zdawało mu się, że ją gdzieś nosił, to znów, że i ją też bił... Potem jacyś studenci spali u niego i z kimś się znów całował, ale to już nie była jego żona...

Czuł, że jest rano... jasna smuga rozciągała się pod jego powiekami; ktoś oddychał w pokoju, ale on nie śmiał otworzyć oczu. Czuł, że ma prawą rękę obwiązaną i zbandażowaną, i że go boli; czoło także miał spowinięte w coś miękkiego, miłego, pachnącego octem. Wreszcie otworzył powoli oczy. Leżał na swoim łóżku, a przy oknie stała Helena, ubrana, i w zamyszeniu wyglądająca przez szybę. W pokoju był straszny nieład. Chustka jego żony leżała na stole, a obok jakiś bębenek, którego nie znał. Czuł, że krwawi pod bandażami. Leżał nawpół ubrany, a ona stała koło okna, blada i zamysłona... Zaczął sobie przypominać wypadki ostatniej nocy i ze zdumieniem zapatrzył się w Helenę. Nagle cały pokój zakręcił mu się w oczach i pan Pantaleon stracił przytomność.

* * *

Teść pana Pantaleona, Makso Szepicz „Kürschner“, jak sam siebie nazywał, czyli „Futrzarz“, jak nazywano go w mieście, wcześniej zamknął swój sklep. Spotkał był tego dnia trzy razy jakiegoś nieznanego popa i wiedział, że coś mu się niedobrego przytrafi. Makso Szepicz miał zwyczaj stawać codziennie przed sklepem i czekać na wschód słońca. „Stary myśliwy ze mnie“ — mawiał — „i wolę wschód słońca od całego majątku Rotszyldów“. Wysokiego wzrostu, w długim, czarnym surducie, nosił Szepicz w lewej kieszeni kolorową chustkę, którą co chwila obcierał wąsy; nosa nie widziano nigdy, żeby obcierał. Dziś myślał o swojej córce, słyszał, bowiem, że jej stosunki z mężem nie są najlepsze. Nie mieszał się w to, tylko całymi dniami wystawał przed sklepem i rozmyślał o córce. Była jedynaczką i chętnie wydał ją za mąż. Gdy swego czasu burmistrz miasteczka X. uderzył do niej w konkury, stary Szepicz zatarł ręce i pootwierał szafy, nappchane białą bielizną. „Ej, żono, dawaj teraz czyste obleczenie, żeby było widać, że Maksa stać na to“. Zrobił się z niego wogóle inny człowiek. Przedtem, gdy kto wchodził do sklepu, kłaniał się stary kupiec bezustanku. Teraz, jeśli kupujący zbyt długo obracał i oglądał towar, Makso odbierał mu go z rąk i krzyczał: „Jak masz kupić, to kupuj, nie marudź, tu nie z żydem sprawiał“, a ciszej dodawał: „...mam już dosyć, wydałem ją“...

I teraz zeszedł do sklepu na gawędę. Opowiadał o berlinkach, naładowanych zbożem, idących aż za Budapeszt; o swojej babce, która miała czerwone ciżmy i złote chusty, wychodząc zamaż... Ale opowiadał to wszystko bez zwykłego ożywienia, a kiedy mówił o dzieciach, rozrzewniał się i często wzdychał.

W mieście lubili go wszyscy gdyż był kolatorem. Patrzyć, jak zapala świecę, stanowiło już modlitwę dla tych prostych dusz. Tak miękko umiał ująć świecę, tak wolno ją podnosił, z tak tęsknym wyrazem twarzy umocowywał ją przed ikoną... A kiedy się żegnał... ach te jego palce! Jak czule, jak pięknie czyniły znak krzyża jego miękkie, delikatne palce. Głowę przechylał zawsze na lewo. Podczas zwykłych nabożeństw stał nieporuszony, ożywał się tylko przy ślubach. Twarz mu wtedy jaśniała i śpiewał. Tak! Nie słyszano jego głosu inaczej, jak przy weselnych piniach, ale wtedy rozbrzmiewał wysoko, aż ludzie spoglądali jedni na drugich. Potem zjawiał się Makso przy uczcie weselnej i czekał. Wznoszono toasty, ale wszyscy wiedzieli, że to tak sobie, tymczasem, a zakończy i uwieńczy dzieło dopiero on! Przychodziła wreszcie kolej na niego. Makso wzdychał. Wtedy już było wiadomo, że przemówi. Podnosił się rze-

czywiście z miejsca i ujmował w dłoń puhar. Goście zbijali się gęsto, jeden przy drugim, gdyż jego toasty były sławne.

Jak tylko skończył, uciekał do domu. Zaczynał albo od słów: „Przechadza się królowa Milica“... albo „Sen śni sławny serbski książę Lazar“... albo „Kon przy koniu, junak przy junaku...“ Ale to zdarzało się wtedy, gdy sobie, sierota, podpił nieco nad miarę. O, zakończenie jego toastów bywało zawsze jednakowe. Tęskne oczy Maksy nabierały ognia, westchnienie wydierało się z jego piersi, lewa ręka ukazywała obraz święty na ścianie. Z przymkniętymi oczami, nie patrząc na nikogo, wołał: „Choćby nas świat cały opuścił i pogrzebał, ostatni z nas jeszcze pytać będzie przed śmiercią — gdzie jest serbska Wojewodzina?“ Głos mu się łamał i Makso pędził do domu, zimą i latem w czarnym płaszczu, postukując laską, zakończoną srebrną gałką, w której na wieczne czasy były wyrzeźbione cztery święte litery S¹).

Takim był pan Makso Szepicz Kürschner (jak sam siebie nazywał).

¹) Cztery S oznaczają maksymę: Samo słoga Srbiju spasa, sawa — tylko jedność (zgoda) może zbawić Serbję.



HELENA CEYSINGERÓWNA

12

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

— Dwadzieścia pięć nahajów tej sikorze! — rozkazał. — Zobaczymy, czy potem wyuczony lekcji nie odwoła!...

Porwali ją oprawcy, zdarli jej sukienczynę do góry. Dziewczyna się zacięła i bez jęku przyjęła straszliwą chłostę.

Naczelnik patrzył i nasłuchiwał, kiedy jęknie, kiedy się rozedrze straszny, dziecięcym wraskiem, ale kozacy siekli w ciszy; rozlegały się tylko okrutne trzaśnięcia batoga i od czasu do czasu głuche westchnienia zgromadzonych włościan.

Podnieśli ją wreszcie i stawili przed jego oblicze. Twarz miała teraz szarą, jak popiół i sine, do krwi pokąsane usta.

— Cóż, jak ci smakowało? Teraz się podpiszesz, co? — Ale dziewczyna, jakby automatycznie, powtórzyła znów ten sam frazes.

— Dawniej tylko niewierni prześladowali chrześcijan...

— Szczęnię przekłete! Ja ci przypomnę niewiernych! — I wydał ją znów w ręce kozaków.

Teraz już skończyła się wytrzymałość Hanusi. Jękiem i wraskiem nieludzkim odpowiadała na nieludzkie razy morderców, ale stawiana razporaz przed naczelnikiem i kuszona do podpisu, odpowiadała wciąż: Nie! — Więc bili ją znowu... aż padła do nóg Gołowskiemu Eufrozyna, komornica, u której Hanusia służyła za niańkę.

— Wielmożny naczelniku — wołała — to mnie bić trzeba, to ja dziewczęciu kazałam! To jeszcze młode, głupie, wielmożny panie! Ady ją zabiją te hamany! Adyc to dziecko!

— Won, suko! Przyjdzie na cię kolej. Ona mi się tu naprasza do bicia! Won! — Kopnął ją nogą, aż

odleciała parę kroków. Jęki Hanusi wznosiły się, przebolesne, długie... Po ludzie zgromadzonym poszedł szmer... i naraz wszyscy rzucili się na kolana...

— Nas bić, wielmożny panie! Dopraszamy się łaski, żeby pan wszystkich nas bić kazał, a temu dziewczęciu już odpuścił...

W tej chwili krew dziecka bryzgnęła w górę, aż na białe papiery na stole, aż na twarz Gołowinskiego...

Naczelnik wzdrygnął się i obłąkanym wzrokiem powiódł po tłumach...

..... klęczą, pełno ich, aż po krańce horyzontu, klęczy lud... cały ten kraj... co!... co to jest?!...

Krew bryzgnęła znowu... I Gołowinskiego przeszedł niepojęty strach... A w tej chwili zamajaczyło wspomnienie tej panny ze dworu... i wściekłość na nią!

Czemu tu nie przyjdzie, jak wtedy, czemu ręk nie złoży?!... Czemu go nie zwolni?!

Ale panna Grudzińska nie interwenjowała tym razem...

Gołowinski się porwał od stołu, przy którym siedział, i bez czapki uciekać począł w stronę dworu... Widząc, że coś niezwykłego się dzieje, pobiegł za nim komendant sotni... a Kutanin rozdrażniony, zły, wściekłym głosem zaprzestać kazał egzekucji. Zresztą, z dziewczyny był już tylko strzęp krwawy... W pół godziny potem Hanusia skonała... Czynnicy stropieni, wraz z popem, który błogosławić miał nawróconych, siedli na bryczki i odjechali.

Misja się nie udała. Gołowinski, biegnąc do dworu, kłął, lżył pannę Lotkę ostatnimi wyrazami. Jej psi obowiązek być przy nim w takich chwilach, ręce mu położyć na oczach, żeby nie widział tych strasznych, nieskończonych, aż po krańce horyzontu klęczących tłumów unickich... ręce mu położyć na sercu, gdy strach je ściśnie do utraty tchu!... Nieprzyszła! Przeklęta, zdradliwa polka!

Stanąwszy na ganku, oprzytomniał trochę... Służba wprowadziła obu oficerów do wielkiej sieni pałacowej, wyszła Lotka i, spojrzawszy na Gołowinskiego, pobladła, jak chusta... Widział w jej oczach zgrozę, wstręt, nienawiść. Cofnęła się od powitania.

— Pan ma krew na twarzy!...

To go dobiło.

Porwał chustkę z kieszeni.

— Izwinitie, madame! Przeklęta służba!...

Ocierając twarz, powalał sobie ręce. I znów powitanie było niemożliwe.

Uklonił się... chciał już odejść, wtem panna Grudzińska opanowała się nagle jakby jakąś wewnętrzną decyzją.

— Każę panu podać wody do gościnnego pokoju — rzekła spokojnie. — Ależ one są bajecznie wychowane, te polki, — przemknęło przez zmacony mózg Gołowinskiego. Poszedł za sztywnym, woli pani posłusznym, lokajem... W pół godziny potem czuł się prawie dobrze. Siedział za suto zastawionym stołem, naprzeciw mając Lotkę, a obok starego majora, który

wprawdzie milczał uparcie, ale gorliwie podsuwał mu przekąski i dolewał wódki. Czwartym w tym towarzystwie był Kosienko, komendant sotni.

Tak... było już prawie dobrze. Tylko te szmery w sercu, tylko ta pamięć, że niedawno tam, na jedno mgnienie oka, był warjatem... To wtedy, gdy ta krew...

Jeszcze teraz od czasu do czasu, niepojęte, nie doznawane nigdy przedtem, ściskanie serca!

Wódka znieczulała stopniowo stargane jego nerwy.

Tu dobrze, widno, ciepło! Naprzeciw ta panna ze spokojną twarzą... Tu wszystko dodaje mu odwagi; kat rozumiał, że tam na wsi stchórzył, stchórzył przeźliwą trwogą, poprostu zwarjował ze strachu... a teraz bał się jednego: żeby tamten stan nie powrócił...

To dziwne, ale obecność tej panny jest mu jakby jedynym ratunkiem,

— Nerwy! Wszystko nerwy! — powiedział głośno, choć zdawało mu się, że tylko pomyślał.

— Nerwy najlepiej uspokaja muzyka — odrzekła Lotka, i usiadła do fortepianu.

Wydało jej się, że tak będzie najlepiej, ponieważ prawie niepodobna było rozmawiać.

Siedząc przy fortepianie, widziała w stojącym naprzeciw lustrze twarz Gołowinskiego. Wyczuwała intuicyjnie, że on walczy z chwytającym go za gardło obłędem, że tu za chwilę dziać się mogą rzeczy okropne...

Zagrała cicho kołysankę Szopena i gdy grała, odwróconej plecami do stołu, lały się po twarzy gorące łzy, gdyż myślała, że tonami tej pieśni na wieczysty sen kołysze Hanusię... a potem zaśmiało się w niej wszystko urągłym śmiechem na myśl, że morderca Hanusi jest jej gościem!.. Zagrała Scherzo, dzikie, połamane, szalone, szydzące z własnego bólu, ale później, sama nie wiedząc, kiedy, zstąpiła w gaje księżycowych nocy, w zaświatowe śnienia nokturnów. Urwała naraz, jakby przynaglona nieświadomym dokładnie, wewnętrznym nakazem.

Coś jej w duszy szepnęło: Już czas!..

I wchodząc natychmiast w rolę gospodyni domu, poprosiła panów o przejście do gabinetu na czarną kawę i likiery.

— Tam nam będzie przyjemniej i zaciszniej.

Major spojrział na nią osłupiałym wzrokiem, ale przeszedł...

Podano czarną kawę. Lotka mówiła dużo o muzyce, przypominała, że Gołowinski grał na fortepianie, gdy był poprzednim razem w Łęgach. Proponowała zagranie na cztery ręce urywku z jakiejś nowej włoskiej opery. „Chory człowiek“ poddawał się wzupełności jej kierownictwu. Na twarzy miał wciąż wyraz męki i zaczajoną w oczach trwogę.

Uwolnię go od niego samego — pomyślała panna.

Gołowinski zgodził się grać.

— Ale pierwaj każę podać szampana.

Wyszła do stołowego pokoju. Jana wyprawiała do piwnicy po wino i na chwilę została sama, ście-reczką przecierając smukłe kryształowe kieliszki.

Major tymczasem, zdoławszy się przezwyciężyć nareszcie, nawiązał rozmowę ze strasznymi gośćmi: o polowaniu.

W latach wygnania major po tajgach syberyj-skich polował był na tygrysy. Kapitan Kosienko, wiel-ki zwolennik myśliwstwa, do tych opowiadań się za-

palił. Dał się wciągnąć i Gołowinskij... Wniesiono butelki w lodzie, huknęły korki, Gołowinskij pa-trzył z rozkoszą, bliską rozrzewnienia, jak ręka Lotki, ręka-lilija, przewijała się między kryształami w srebrnych oprawach wybierając kieliszek dla niego...

Boski napój! Szumiący, mroźny! przyniósł na-reszcie upragnioną podniecie, a zarazem uspokoił wstrząs nerwowy. (c. d. n.)



KAROLINA BIELAŃSKA

3

HETMAN ZŁOTOBRODY I WŁADCZYNI LIBANU

Długo rozwodzi się Emir nad cnotami i powa-bami pani swego serca:

„Estero, jakże jej nie miłować!

„Mów jej o sławie, ach, jakże pięknieją jej rysy, jaki blask w oczach się zapala, jak zawisa na ustach twoich, i, zda się, widzi każde, wychodzące z nich słowo. Niebiański rumieniec ożywia śliczną twarz, rzekłbyś, że rumieni się ona, widząc swą tajemnicę odkrytą gdyż ona to, ona jedynie jest bohaterstwa nagrodą.

„Estero, jakże nie pragnąć umrzeć w obronie jej cześci!

Kiedy lady Ester, dogadzając fantazjom swego gościa, kazała wyrzeć na skale w pobliżu jego namiotu Znak¹⁾, którego się mienił niewolnikiem, Emir był wzruszony aż do łez.

„Dusza moja, tak żywo wzruszona, odepchnęła od siebie ciało, które ją więzi... i powracając do swej istotnej treści, w oka mgnieniu uleciała do miejsc, tak bardzo jej drogich...

„Nie zobaczę już nigdy tych miejsc, gdzie stała moja kołyska, ani grobów, w których śpią ojcowie moi.

„Jestem własnością pustyni.

„Ta skała, na której wryto znak ukochany, jest moim grobowcem. Któż zgadnie, gdzie spocznie moje ciało, kto z dzieci pustyni znać będzie mój ostatni przytułek? Sępy rozniosą ciało i rozszarpiają na strzępy to serce, w którym żyła miłość. Kości moje, zmieszane z kośćmi rumaków, rozproszą się na wszystkie strony...

„Idę do mojej skały. Żyw jeszcze, pograżę się w rozpamiętywaniu mego skonu, bo tu mój grób, tu

jedyny mój schron. Znak jest na nim, a czyż w nim ja cały nie jestem?

„Nie masz dla mnie innego ratunku, krom szaleństwa, a innego schronienia, jak skon.

„Zrobiłem, co mogłem, aby dać się zabić, a gdy nadejdzie druga sposobność, nie omieszkać z niej skorzystać“.

Całą nadzieją, że kiedyś, po jego skonie, przy-pomni sobie o jego miłości Ona, dziś obojętna. Przyj-dzie w te miejsca i może — zapłacze.

„A wtedy ty, Estero, każ dodać na mej skale te słowa:

„Jedna Jej łza, Emirze, za wszystko Ci zapłaciła.
(Rękopis, list II).

Prócz tych lirycznych wynurzeń prowadził Emir z Agielką długie polityczne i społeczne dyskusje. Czy zrozumieli się? wątpić można. Ona tonęła w mi-stycyzmie, który był, właściwie, samo uwielbieniem, jego coraz większa tęsknota ciągnęła do kraju. Na-daremnie wmawiał w siebie, że „czuje się w pustyni, jak w domu“, i snuł jakieś ogromne plany o wskrze-szeniu wielkiego państwa Wchabitów. Daremnie, roz-miłowany w swobodnym życiu Beduinów, chciał za-pomnieć o kraju, „któremu swobodę odjęto“. Błędne koło to było i wciąż sprowadzało duszę na ścieżki tęsknoty.

„Natura sama wszczepiła nam to przywiązanie do miejsc rodzinnych, do mogił przodków, do pobo-

¹⁾ Znak ów, (dwa L złączone z sobą) rył Rzewuski na drzewcu swej kopji, na kolumnie wśród ruin Palmiry i czcić go kazał Arabom.

jowisk sławnych praojców. Choćby najniewdzięczniejsza ojczyzna, nigdy nie przestaje być drogą.

„A ja, którym poznał okropności pustyni, którym się wzył w miłość Beduina do jego niegościnniej ojczyzny, jakiegoż wzruszenia i podziwu doznałem na widok uczucia tak czystego, tak bezinteresownego? Trawiony smutkiem, co dzień patrząc na konające promienie słońca, robiłem je tłumaczami mego serra i posyłałem przez nie pozdrowienia na grób mojej ojczyzny!..

„Jestem Polakiem!“

Rzewuski wrócił do ziemi ojczystej, nie zdołał wyrzec się jej nazawsze, jakto uczyniła lady Stanhope.

Rozstali się uprzejmie, choć bez uniesień; przy pożegnaniu Estera obdarzyła gościa cennym upominkiem: klaczą białą pełnej krwi Neźdu Kohejlan „Emir uradował się wielce, ale — widząc, że pani Libanu jest wielce do pięknego zwierzęcia przywiązana — zostawił u niej tę klaczą“. Wiódł i tak ze sobą wspaniałe stado: sto pięćdziesiąt koni najczystszej rasy arabskiej. Zdaje się, że był pierwszym Europejczykiem, który podobnej sztuki dokonał. Wydał za to miliony, nadzarpnął ogromną fortunę tak bardzo, że odtąd on, pan kilku kluczów, musiał wciąż walczyć z niedostatkiem prawie. Uwiózł jednak przebogaty skarbiec wspomnień z tych dwóch lat włości 1817 — 19. Pielgrzymki do Mekki, boje, staczane w pustyni, tajemnicze z mędrkami Wschodu gawędy, przymierza, zdrady, powstania, (wszędzie, jak istny rycerz z La Manchy, podróżnik nasz brał stronę uciśnionych). Wschodnie piękności o oczach Gazeli, i piękności marmurowe, bóstwa kamienne, odgrzebywane w piaskach pustyni. Bezценne pamiątki dla zbieraczy, niezliczone zabytki dla uczonych. To wszystko, co potem podolscy i wołyńscy sąsiedzi lapidarnem mianem „arabskich awantur“ określili.

A jednak serce, stęsknione za krajem,
Wzgardziło wiecznie zieleniącym majem
Niżeli wschodu czarowne krainy,
Milsze mu były ojczyste doliny.
I pod Eufrackich brzoź zielonym wrzosem,
Wołał do Polski bolejącym głosem:
„Tak i tu strumyk płynie, jak płynie w Ojczyźnie,
„Tak i tu nuci słowik, jak w Ojczyźnie nuci,
„Jak w Ojczyźnie rozwita, tak tu róża kwitnie,
„Wszystko tu, jak w Ojczyźnie, lecz to nie Ojczyzna, 1)

1) Wiersze te, wyjęte z książeczki, będącej dziś już rzadkością bibliograficzną, poematu p. t. „Wacław Rzewuski, fantazja z czasów powstania podolsko-ukraińskiego w 1931 r.“ — napisał Michał Budzyński w Brukseli, r. 1841. Wiersze zacytowane, to urywek z poezji Rzewuskiego, który, jak mówi Budzyński, pisał wiele melodii arabskich i greckich nierymowym wierszem. Mówiono wiele o jego poemacie O x a n a i kilku innych, zostawionych w rękopisach. „Harmonja słów, ułożonych tak dźwięcznie, że się zapomina o końcówkach, wschodnia poezja, pełna fantastycznych obrazów, budziły we mnie żal, że ledwie te cztery wiersze zostały mi w pamięci.“ (Przypisek Michała Budzyńskiego). (dok. nast.).

Kobieta w świecie i w domu

MISJA SANITARNA KOBIECA

Dowiadujemy się z angielskiego pisma kobiecego „The Woman Engineer“ o zorganizowaniu przez Lady Carnarvon misji sanitarnej, złożonej z samych kobiet, która udała się niedawno do Albanji, by tam nieść pomoc ludności, dotkniętej epidemją malarji. Na czele misji stoi młoda inżynierka, Miss Lindsay, która przed wyjazdem na tę ekspedycję odbyła kilkumiesięczną praktykę w instytucie antymalarycznym we Włoszech. Po przybyciu na miejsce, misja rozlokowała się w szpitalu rządowym w Walonie, gdzie obecnie, poza pomocą sanitarną, prowadzone są jeszcze pod osobistym kierunkiem panny Lindsay prace techniczne, jak wiercenie studzien artezyjskich w miejscowościach, pozbawionych wody bieżącej, zasypanywanie rowów, osuszanie bagnisk etc. Jedną z lekarek, wchodzących w skład misji, zajmuje się także badaniem larw moskitów, uważanych za roznosiciele choroby. Personel misji składa się z dwóch lekarek, inżynierki, kilku sanitariuszek i dwóch szoferek.

KOBIETA CZTERDZIESTOLETνια

Nie idzie tu o kobietę, którą opisywał Balzac (wiek jej dawno już się przesunął, conajmniej o dziesięć lat, naprzód), lecz o kobietę, wydziedziczoną pod innym względem, której losem zajęła się pani Blanche Schweig, założycielka „Ligi kobiet czterdziestoletnich“. Dlaczego właśnie — czterdziestoletnich? Bo w tym wieku już, podobno, w Paryżu kobieta zna, lecz nie może żadnego zajęcia. Większość firm handlowych i przemysłowych, biur etc. wymaga od swego personelu „powierzchnowości miłej, sympatycznej i młodej“. Kobieta, powyżej lat czterdziestu, rzadko kiedy może odpowiadać trzeciemu z pomiędzy tych warunków. A więc po kilkunastu, a nawet i kilkadziesiąt lat pracy traci posadę kasjerki, ekspedjentki, czy maszynistki i znajduje się często literalnie na bruku. Tysiące tych wydziedziczonych zabiega napróżno o jakieś zajęcie, wszędzie spotyka je ta sama odpowiedź: Potrzebujemy tylko pracownic młodych.

Wojna przyczyniła się w znacznej mierze do zwiększenia liczby tych bezdomnych, pozbawionych ogniska domowego i opieki rodziny, kobiet. Najlepszym jeszcze stosunkowo jest los t. zw. „wdów wojennych“, które za otrzymaną od rządu pensyjkę mogą jeszcze jako tako egzystować. Kobiety, jednak, którym wojna zabrała narzeczonego i uniemożliwiła założenie własnej rodziny, są daleko bardziej godne pożałowania. Dla nich to głównie powstała „Liga kobiet czterdziestoletnich“, która ma na celu zapewnienie tym nieszczęśliwym pracy i opieki, a jednocześnie zwalczanie wśród społeczeństwa okrutnego i niesłusznego przekonania, jakoby kobieta, pozbawiona wdzięku młodości, stawała się sprzętem nieużytecznym. skazanym na ostateczną zagładę, lub niedolę parjasa,

KOBIECY KU-KLUX-KLAN

Pisma angielskie donoszą, że w Londynie powstał, wzorem Ameryki, kobiecy związek „Ku-Klux-Klanistek“, mający na celu, jak głosi oficjalny program, „dążenie do zachowania czystości wiary protestanckiej“. Jaki jest jednak rzeczywisty cel tej organizacji—trudno narazie zbadać, Ku-Klux-Klan jest bowiem, jak wiadomo, organizacją tajną i rządzącą się prawami, utrzymanymi pod ścisłym obowiązkiem tajemnicy. Zebrania członkiń (których liczba dosięgła już podobno dziesięciu tysięcy) odbywają się poza Londynem, w miejscowości ustronnej i malowniczej, a wszystkie członkinie, biorące udział w tych zgromadzeniach, mają na twarzach białe maski i ubrane są w fantastyczne kostjумы—rodzaj długiej, powłóczystej koszuli z białego płótna, zakrywającej całą postać. Na piersiach mają wyhaftowany czerwony krzyż.

Przypuszczać należy, że angielski odłam Ku-Klux-Klanu nie będzie wykazywał takiej krwiożerczej bezwzględności względem swych wrogów, jaką odznaczają się amerykańscy Ku-Klux-Klaniści, przesładujący, jak wiadomo, wszystkich cudzoziemców, zwłaszcza murzynów, i nie cofający się nawet przed skrytobójczymi zamachami i rozlewem krwi. Odmiennie warunki, panujące w Anglii, pozwalają przypuszczać, że tamtejszy Ku-Klux-Klan (jeśli wogóle się nie okaże kaczką dziennikarską, wyolbrzymioną przez jakiegoś reportera do tak imponujących rozmiarów) będzie organizacją, nie zakłócającą w niczem spokoju obywateli Wielkiej Brytanii.

Z. B.

Dwa tysiące kilometrów granicy strzec trzeba. I położył się ten Korpus na szlakach dawnych rycerzy kresowych, wrósł w ich mogiły, jak młoda latorośl z powalonych już dębów wystrzela. Niedaremnie jednodniówka wywołuje z przeszłości cienie Stefana Chmieleckiego, Michała Wołodyjowskiego. Aż dziwno pomyśleć, jak tu, na tych ziemiach, wszystko jest, jak przed laty, jak było w XVI, XVII i XVIII stuleciu. Tak samo granice niepewne, tak samo watahy rabusiów, bandy podpalaczy, wdzierając się z ościennych państw, niszczą, z trudem szczerpiąc, kulturę. Tylko Polska wciąż tych stuleci zmęźniała, tylko ona jedna jest tu elementem nowożytnym; nie zostawi też, jak ongi, zostawiała, rycerzy swoich bez pomocy i obrony, bez umocnień i twierdz... Już ona dziś nie tą, rozgrodzoną na wsze strony, Rzeczpospolitą, w której granice, wedle jednego wyrażenia p. Zagłoby, „lazły wszystkie świnię sąsiedzkie“.

Szereg strażnic kresowych, szereg szarych żołnierzyków piechoty i polotnych, jak ongi, ułanów, czuwa dzień i noc u tych kresów.

Czyż nie ciekawe, jak oni tam żyją na tej nieustającej stopie wojennej, oni — tarcza Polski i Europy przed zalewem barbarzyństwa?

Właśnie o tem mówi jednodniówka. Pokazuje w obrazkach, jak oni tam pełnią służbę, a służba nie jest łatwa, ani zbyt cenna. Wciągu roku sprawozdawczego przytrzymano za nielegalne usiłowanie przejścia granicy, z zewnątrz do Polski 16.179 osób (cała armja!) z Polski na zewnątrz — 1828.

Patrole i zasadzki K. O. P. odparły ogniem próby wdarcia się przez granicę zbrojnych band 25 razy. W roku poprzednim było takich prób 89.

Band, lub organizacyj bandycko-dywersyjnych w strefie współdziałania natrafiono 23, w r. poprzednim — 51.

I dzięki im i ich służbie strażniczej, nie było w tym roku w pasie granicznym ani jednego napadu bandycko-rabunkowego. Zbrojny pierścień graniczny nie dopuścił. Jednodniówka opowiada dalej i ilustruje obrazkami, jak się tam bawia żołnierze w dzień świąt narodowych, jak się uczą, jak bronią od pożarów wioski, jak do strażniczych ich bibliotek przychodzi po książki ludność miejscowa, jak w zawodach konnych i pieszych i wszelkiego rodzaju sportach ćwiczą siły i sprawność ciała, jak przepływają konno rzeki i brodzą pieszo po moczarach, jak hodują konie, gołębie, psy...

O tych psach „służbowych“ jest tu niezmiernie zajmująca opowieść. „Psa użyć można w pierwszym rzędzie, jako psa meldunkowego. Pies pójdzie z wami na patrol i na wasz rozkaz pobiegnie do strażnicy z meldunkiem, a przyniesie ze strażnicy w krótkim czasie odpowiedź, lub sprowadzi pomoc. Jeśli musicie opuścić miejsce, skąd wysłaliście psa na strażnicę, zostawcie w tem miejscu czapkę, lub chustkę, a pies doprowadzi wam pomoc, idąc waszym śladem. Podziękujcie mu zawsze lekką piśczętą za oddaną usługę, za dobrze „wykonany rozkaz“.

Już w czasie wielkiej wojny używano psów do przenoszenia meldunków.

„W wielkich bitwach gdy ogień armatni niszczył połączenia telefoniczne, gdy uniemożliwiał obsługę radioaparatów, pies jedynie zapewniał dowództwu otrzymywanie wiadomości z pierwszej linii. Pracował równie pewnie w nocy i we mgle, jak w dzień. Biegł niepowstrzymanie z meldunkiem przez teren, zasypywany pociskami armatnimi i gazowemi, a nawet ciężko ranny, podążał do swego przewodnika. Żadna siła nie powstrzymała go od wykonania rozkazu, chyba śmierć jedynie. Nieraz ciągnął kabel telefoniczny przez teren, zasypywany żelazem, niósł w koszach gołębie do pierwszych linii, niejednokrotnie dostarczał wysuniętym i odciętym placówkom pożywienia i amunicji“.

Tak człowiek w okrutne dzieła swoje wciąga psia wierność, i konia radosną żądę biegu, i gołębia pamięć serca...

Prostym, żołnierskim językiem opowiadane przygody z życia i służby na pograniczu kończą gruby zeszyt jednodniówki K. O. P. mający w sobie coś z egzotyczności Londona i z jego siły.

* * *

„DLA PRZYSZŁOŚCI“

Jeszcze bardziej interesującą pod pewnym względem jest odbita wkrótce po tamtej w tej samej drukarni M. S. Wojsk, a wydana nakładem „Komitetu Społecznego przysposobienia kobiet do obrony kraju“, jednodniówka, p. t. „Dla Przyszłości“. Jest nowością.

Mówi się czasem o służbie kobiet w wojsku polskim i dla wojska, czasem się coś o tem napisze... naogół jednak głucho o tych rzeczach i nikt nie próbował dotąd ująć tych wysiłków kobiety polskiej w jakieś wspólne ramy. Pierwsza próba wypadła bardzo interesująco. Oczywiście, jednodniówka, to nie poważna monografia tego ciekawego ruchu, to tylko fragmenty, epizody, wspomnienia, obficie ilustrowane niektóre, innym, z czasów konspiracyjnych — brak, oczywiście, dokumentów fotograficznych,



DWIE JEDNODNIÓWKI

„Korpus Ochrony Pogranicza“ 1925 — 1926

Kto mówi, że niema dziś w Polsce miejsca na romantyzm, niech wstąpi do Korpusu Ochrony Pogranicza, a mieć będzie wbród przygód, awantur, niebezpieczeństw; życie jego codzień wisieć będzie na włosku; śmierć podchodzić doń będzie ciemnymi, zimowemi nocami i w słoneczny, roześmiany poranek; z granicznych ostępów leśnych, z moczarów omglonych wstawać będą widma i zmory; słupek graniczny w oczach jego, w biały dzień, zamieni się w rycerza-olbrzyma i wielkimi krokami odejdzie na wschód... gołębie, jak gołębie Swentyny w „Beniowskim“, nosić mu będą wieści...

Nie wierzycie?

Więc weźcie do rąk pięknie wydaną jednodniówkę Korpusu Ochrony Pogranicza, a przekonacie się, że to wszystko — prawda, prawda urzędowa, zamknięta w wojskowych raportach. Z okładki patrzy ku nam charakterystyczna, złośliwie, po łobuzersku, w stronę nieprzyjaciela roześmiana, młoda gęba polskiego żołnierza. Mróz, śnieg, słupek graniczny, karabin w dłoni, a w duszy zdrowa radość życia i chęćka chłopczyńska spróbowania się z przeciwnikiem. Za żołni rzem—ciemna ściana lasu, a za lasem het, daleko, szeroko rozłożone pola Ojczyzny, których on tutaj, — wysunięta na ostatni kraniec, placówka, — wiernie strzeże. A że smutek — nie rycerska to rzecz, więc szczerzy wesoło zęby do bolszewików, i do wilków, i do mrozu, co podstępnie, niewidocznie ścina w żyłach młodą, czerwoną krew.

Sprawozdania z działalności Komitetu Społecznego przysposobienia kobiet do obrony kraju, sprawozdania z obozów letnich uwydatniają całą tę pracę przysposobieniową, bardzo jeszcze młodą i z początku, z taką nieufnością, przyjmowaną przez społeczeństwo, a która dziś znajduje się już na drodze do wspaniałego rozwoju. Zwraca uwagę artykuł p. Wiktora Wiszniewskiego p. t. „Rola kobiet w obronie przeciwgazowej” zakończony twierdzeniem, że w przyszłej wojnie, w razie zaatakowania Polski przez wielokroć liczniejszego wroga, kobiety w obronie miast odegrają wielką, może nawet decydującą rolę“.

Ozdobą literacką jednodniówki stanowi fragment z pamiętnika Jehanne Wielopolskiej p. t. „We wielki wieczór“. Dalej następuje Z. Zawiszanki interesująca „Przygoda wywiadowczyń“, po przedzona krótkim artykułkiem o wywiadowczyń polskich I Brygady Legjonów, których Biurem kierowała p. Aleksandra Piłsudska, i o tych z r. 1919 i 20, Bohaterska karta Ochotniczej Legji kobiet imponuje ogromem realnych usług, oddanych armii, przedewszystkiem przez służbę wartowniczą, pełnioną sumiennie, uczciwie, obowiązkowo, w chwilach ogólnego rozprężenia i niebezpieczeństwa.

Nieznany prawie całkowicie szerszemu ogółowi jest epizod z obrony Mińska przed bolszewikami w r. 1918., a w której kobiety, a zwłaszcza „Koło Polek“, odegrało tak wybitną i heroiczną rolę.

Mówią dalej o sobie: Żeński oddział P. O. W.; imponujący olbrzymiami cyframi, P. Biały Krzyż; Harcerstwo żeńskie i Pielęgniarstwo P. Czerw. Krzyża, ten cały kolosalny dział służby kobiecej w czasie wojny, zbyt pobieżnie został, z powodu rozmiarów wdawnictwa i koniecznego pośpiechu, potraktowany.

Próby przygotowania kobiet do służby gospodarczej w czasie wojny wnoszą dwa stowarzyszenia: oddział żeński „Związku Strzeleckiego“ i „Praca Obywatelska“, zrzeszenie b. uczennic szkół i seminarjów zawodowych. Szkoły te już w r. 1920 dowiodły swej przydatności, zamieniając się w całości w warsztaty pracy krawieckiej i bielizniarskiej dla wojska.

Jednym słowem jednodniówka jest bardzo urozmaicona, jest pięknie wydana i na zagadnienie przysposobienia kobiet do obrony kraju powinna zwrócić uwagę, przedewszystkiem świata kobiecego, wychowawców, społeczników. C. r.

Tak rozumuje sobie także pani Fransyna de Margerie, znakomita powieściopisarka francuska. Nie dbała ona dotychczas o order, ale... skoro ma tym razem dostać legję honorową inna literatka — przecież to oburzające! Fransyna postanawia walczyć nie o order, lecz o sprawiedliwość. W tym celu ona, wierna i czuła małżonka, gotowa jest zamienić się w kokietkę i uwieść pana Ministra Sztuk Pięknych, i namówić swego kochającego i kochanego męża, aby bałamucił piękną i łakomą ryzykownych flirtów panią ministrową. Dzięki zabawnym wydarzeniom, wśród których niepoślednią rolę gra to, że rywalką pani Fransyny jest piszący pod kobiecym pseudonimem (co za czasy!) mężczyzna, legja zostaje przyznana pani de Margerie, Nie zaszkodził na drodze do upragnionego krzyża nawet policzek, wymierzony zbyt przedsiębiorczemu ministrowi, a napewno dopomógł — ryzykowny flirt jej męża z kochliwą Adrjaną.

Pani Fransyna otrzymała krzyż, ale uroczystość ta nie stała się źródłem wesela: oboje małżonkowie płaczą i martwią się, że poświęcili wiele ze swego szczęścia dla otrzymania niepotrzebnej zabawki, która, zresztą, mocno zraża do Fransyny jej męża, „Ja nie chcę spać w jednym łóżku z oficerem legji honorowej“, woła ten nieszczęśliwy człowiek. Pani Fransyna rozrzewnia się. Nie będzie już więcej pisać. Odtąd będą żyli z mężem tylko dla siebie, nie dbając o świat i jego ponęty.

Takby się skończyła ta sztuka, gdyby jednym z jej autorów nie był Robert de Flers. Wobec tego kończy się ona akordem lekko ironicznym. Stroskany i pocieszony małżonek zaczyna nieco żałować podartego przez żonę rękopisu powieści. „Wiesz“, powiada: „szkoda, żeś to podarła! Tak ślicznie pisałaś, i nieźle się przytem zarabiała“... „Nie bój się, najdroższy, mam kopję tej powieści w biurku“...

Istotę sztuk de Flersa i Caillaveta stanowi bardzo dowcipny i subtelny dialog, który teraz w nowym, poprawnym przekładzie podał nam p. Adam Zagórski. Dawny przekład, grany przed laty w Teatrach Rządowych Warszawskich, nawet wśród używanych ówczesnie przekładów fars, stanowi istne kurjosum pod względem niezrozumienia tekstu i niezdarności dialogu. Rewizja przekładów z epoki p.p. Małyszewów i innych jest rzeczą konieczną. Dzięki niej, poznałybyśmy mogli naprawdę sztuki, które kiedyś, pokazane nam w formie zupełnie zniekształconej, musiały być odrzucone do rupieciarni teatralnej. Pani Przybyłko-Potocka, która tak skąpo udziela nam się w obecnym sezonie, otrzymała tym razem rolę, w której mogła wykazać wiele zalet swego wielkiego talentu. Podkreślić tu przedewszystkiem należy umiejętność prowadzenia dialogu, umiejętność, nieodzowną w komedjach tego typu, Pani Mila Kamińska była pełną wdzięku „rozwydrzoną“ Adrjaną. Szczerym i sympatycznym mężem Fransyny był pan Samborski, pan Maszyński tchnął życie w przejaśkrawioną postać Zakuski. W mniejszych rolach dobrzy i poprawni byli: pp. Modrzewska, Skibińska i Pobóg-Nowicka, oraz panowie Daczyński, Bogusiński, Stoma i Żeleński.

Sztukę dobrze wyreżyserował p. Karol Borowski.

TEATR ĆWIKLIŃSKIEJ I FERTNERA

„Tajemniczy Dżems“

sztuka w 4 obrazach Jana Moranda i Henry Geraula.

Zasadniczą cechą dykcji Teatru Fertnera i Ćwiklińskiej jest wiara w odnowione powodzenie sztuk, które się kiedyś powodzeniem cieszyły. Nie bierze się tu zupełnie pod uwagę zmienionych warunków wykonawczych i zachodzącej, bądź co bądź, ewolucji gustów publiczności.

Pan Fertner nigdy nie lubił szukać doradców literackich wśród literatów. Sto razy sparzywszy się na złym wyborze, próbuje poraz setny i pierwszy, i wszystkie, najbardziej przyjaźnie rzucane apostrofy są, jak groch, rzucany o ścianę. Doskonale wiemy, że „Tajemniczy Dżems“ miał kiedyś powodzenie, przeważnie dzięki Osterwie, który — choć dzisiaj przeniósł się zupełnie do wielkiego repertuaru, pozostanie jednak zawsze najznakomitszym u nas przedstawicielem lekkiego farsowego amanta. Pan Łuszczewski jest nieszczęśliwie wybrany na następcę Osterwy, zupełnie zaś nieodpowiednią w roli żeńskiej jest pani Peszyńska. Pan Fertner grał Dicka bardzo dobrze, ale, jak zawsze, jaskrawymi efektami, i dlatego mimowoli wysuwał siebie na pierwszy plan, co mu za błąd reżyserski policzyć musimy. Z. P.



TEATR POLSKI:

„Święty Gaj“, komedia w 3 aktach de Flersa i Caillaveta, nowy przekład Adama Zagórskiego

„Święty Gaj“ de Flersa i Caillaveta, tej doskonałej spółki autorskiej, z której został przy życiu tylko wesoły de Flers, a umarł zamyślony Caillavet, słusznie został wznowiony przez Teatr Polski w czasach dzisiejszych, kiedy pogoń za orderami stała się chorobą nagminną nie tylko wśród sfer, kręcących się koło wielkiego ołtarza rządowego, lecz także wśród twórców i uczonych, którzy, zdawałoby się, przez dzieła swoje wyższe już otrzymali order. U nas nie doszliśmy jeszcze do ideału francuskiego, gdzie czerwona rozetka Legji zdobi butonierkę prawie każdego starszego pana i sukienkę wielu młodo wyglądających pań. Z czasem i na tem polu dorównamy naszej zachodniej sojusznicy.

Często słyszy się głosy, że ordery są niepotrzebne, że to jest śmieszna manja, obwieszania się publicznymi świadectwami zasługi i że o takie odznaczenia dbać niema pogo. Ale... Jest właśnie pewne „ale“. Bo jeżeli już ordery są, choć niedorzeczny to i niepotrzebny zwyczaj, to dlaczego mają je właśnie otrzymać X i Z, a nie ja?



O WNĘTRZACH MIESZKANIOWYCH

POKOJE SPECJALNE

Po hall'u i pokoju mieszkalnym, które grają w organizmie domu skomplikowaną rolę o kilku przeznaczeniach, mamy pokoje „zdecydowane“ w swej celowości bytu. Jadalnia, sypialnia, gabinety, ubieralnia, dziecinne i wiele innych. Od zamożności właściciela, od wielkości domu, czy mieszkania, od przyzwyczajęń i tysiąca innych przyczyn zależy „skład“ domu, jak również skala urządzenia wymienionych pokoi. Zaczynając od sosny lakierowanej, czy politurowanej, kończąc na mahoniu i czeczotce, mamy sto i jeden materiałów na meble. Wszystko zależy jedno od drugiego. Decyduje, wszakże, gotówka i gust. Niepodobniestwem jest podyktować komuś, a właściwie szerszej publiczności, czy mają robić jadalnię na żółto z niebieskimi meblami, czy odwrotnie; czy sypialnia ma być błękitna, czy różowa. Albo narzucić typ stołu, czy fotela. Róbcie tak, a nie inaczej. Może za parę dziesiątków lat „zmaszynują“ się na całym świecie domy i wnętrza, a i to będą pewne różnice zawsze. Dziś do tego daleko, szczególnie nam. Uważam za jedynie możliwe tylko doradzanie, coby można i należało zmienić, przerobić, czy zastosować w swych domach, mieszkaniach, pokojach. Ale wiem, że każdy ma swoją indywidualność, umiłowania i że nic w nikogo wmówić się nie da. To kwestja wewnętrznej przekonania. Można otworzyć oczy na to, lub owo, coś podszeptać, podsunąć jakąś myśl, ale nie można steroryzować i otrzymać dobre wyniki.

Przejrzymy pokoje specjalne. Wiemy, np., że najzdrowsza sypialnia powinna mieć okna na wschód i południe, ale komuś właśnie może dogodzić światło zachodnie, niech sobie ją robi od zachodu. Jeżeli pokój ma służyć tylko do spania, wstawimy łóżka, małą otomanę, szafki nocne, parę krzeseł i tyle. Gdy służy za ubieralnię, przybędzie szafa, bielizniarka, toaleta. Łazienka powinna być tuż obok. Gdy możemy mieć i ubieralnię, obstawiamy ją wokoło szafami, zapuszczonemi w ściany, duże lustro między oknami, a w głębi drzwi do łazienki, lub rozsuwana ścianka do alkowy z wanną, umywalką i fotelem W. C. Alkova—wyłożona kafelkami, lub płytami marmurowemi, Sypialnię powinno się utrzymać w tonach spokojnych, nie jaskrawych, przy obiciu unikać skomplikowanych deseni. Nie obwieszać ścian obrazami, ani dywanami. A jednak pokój musi być miły dla oka, trzeba dlań czuć sympatję, a więc dbale urządzić. Spędzamy w nim przecie prawie połowę życia.

Przejdźmy do jadalni. Gdy nie jest włączona do pokoju mieszkalnego, stanowi całość o specjalnym charakterze. Zbieramy się w niej parę razy na dzień dla posiłków. Głównym meblem będzie stół, duży, szeroki, czasem okrągły, nie za wysoki. Muszą być wygodne krzesła, czasem fotele, kredens, lub dwa, zegar i lampa nad stołem. To schemat. Każdy go może w fantazji opracować dowolnie. Drzewo ciemne, średnie, jasne. Siedzenia obite skórą, lub materiałem, albo wcale. Boazerja wokoło, skóra tłoczona, lub tynk. Co kto woli i nado kogo stać. Naturalnie, że przyjemniej mieć jadalnię jasną, powiedzmy, o orzechowych meblach, kremowych ścianach, z paru ładnymi krajobrazami na ścianie. Ale gdy ktoś lubi ciemne tony, można otrzymać śliczny efekt mrocznych

ścian, wówczas stół, nakryty lśniącym obrusem, pełen kryształów i sreber, kwiatów i światła, błyszczący, jak kwiat bajkowy w cieniu puszczy. Pamiętajmy, że z jadalni trzeba dać izolację do kuchni: kredens, korytarz, pasażyk. W małym mieszkaniu przyjemne i pożyteczne są w jadalni fotele, lub sofa, (gdzie niema palarni, lub salonu); można po obiedzie zasiąść w nich wygodnie na papierosa, do pogawędki, czy przeczytania gazety.

Mamy dwa pokrewne pokoje. Pokój pani i pana. Innemi słowy—gabinet i buduar. Gabinet, jako taki—to biurko z telefonem i maszyną do pisania, fotele, szafka na papiery, stolik składany do kart. Jakie to ma być? Proste, gładkie, bez rzeźb i nielogicznych kształtów. Wygodne, w surowości ładne. Wartość stanowi materiał. Mogę doradzić, że n. p. przesłicznie odbija jesionowe, politurowane drzewo, naturalnego koloru, od ścian barwy ultramaryny. Zamiast szaf—półki przy ścianie. Może być równie piękne—czarny heban na tle mandarynkowej ściany, fotele, obite takimże pluszem, lub złoconą lamą. Wszędzie tysiące możliwości i odmian. Nie mogę w ramy artykułów, choćbym pisał cykl przez cały rok, wtlóczyć tej masy pomysłów w urządzeniu wnętrza. Panuje ogólnie prostota w kształcie mebli i przedmiotów. Zobaczmy pokój pani. Biureczko, kanapka i foteliki, szafka, stoliki: do robót, do herbaty, pod kwiaty, czy albumy. W tych pokojach mają prawo przebywać portrety rodzinne i fotografie. Bo tu się ma je dla siebie wyłączać, nie dla oczu ciekawych, a obojętnych. Na ścianie, na biurku, czy w albumie, trzymamy podobizny najbliższych nam drogich osób, czy miejsc. Żyjemy tu wśród nich. Wprowadzamy do tych pokoi tylko życzliwych, pojmujących nas ludzi. Obcy zostaną w salonie, o ile będzie w składzie domu salon.

Salon współczesny. Niewiele wytwornych mebli, rzuconych na dywanie w rogu. Zniknęła sztywność salonów ludwиковskich z kanapą, stołem przed nią i fotelami wokoło. Dziś meble ustawia się tak, by duże grono zasiadło wokoło, widząc się nawzajem; kanapy, fotele, stoliki, wazon, krzesła, lampy, taborety. W bardzo modernistycznych wnętrzach mebluje się salon jedynie niskimi sofami ze stosem poduszek i małymi stolikami. Aprobuję ten pokój tylko w bardzo zamożnym domu, jest to bowiem luksus. Meble muszą być z cennego drzewa, obicia piękne, obrazy wartościowe. Niema miejsca na tandetę i fałsze.

Idźmy do biblioteki. Szafy wokoło, rozkoszne fotele z przysuwaniem pulpitemi, stół, dużo lamp, dających skoncentrowane światło na książkę, gdy inne oświetlają szafy. Dywan, tłumiący kroki. Cisza.

Pokój dziecinny. Okno umieszczamy wyżej, niż normalne, aby podrosłe dziecko paroletnie nie mogło wleźć na parapet. Ton bezwzględnie jasny. Mebelki białe, bez ostrych kantów, proste. Łóżko, szafy na rzeczy i zabawki, stolik, krzeselka, dla młodszych kojec (wymateracowana skrzynia 1 x 1, lub nawet 1½ x 1½ m. na 60 cm. wysokości). Umieszcza się tam dziecko z pluszowymi misiami i zajacami. Nie może zrobić sobie krzywdy, bo wszystko wokoło miękkie. Niech siedzi i bawi się. Dla starszych—pulpit i półka na książki. Kozproszone, nie ostre, ale silne światło. Obok specjalna łazienka.

To są pokoje luksusowe. Wróćmy do mieszkań miejskich. Dziś ogromna ilość osób mieszka w jednym pokoju. Ma się tu wszystko razem: gabinet, sypialnię, kuchnię i td. A jednak chciałbym przekonać, że i taki pokój może być miłym, przytulnym i sympatycznym.

Tylko trzeba obudzić w sobie, o ile dotąd jej niema, żylkę zamiłowania do stworzenia home'u nawet w czterech ścianach. Nawet na parę tygodni należy „urządzać się” według swego gustu. Niema takiej nory, czy poddasza, gdzieby nie dało się stworzyć „swego zakątka”. Tylko trzeba dużo dobrej woli.

Przejrzeliśmy w ciągu paru miesięcy wnętrza wielkiej sztuki, do początku XIX-go wieku, potem upadek architektury i meblarstwa, wreszcie odrodzenie powojenne. Nowy, szalony rytm życia. Rytm dnia dzisiejszego i nieznanego, jeszcze wspanialszego w wiedzę jutra. Poszedłem na kompromisy. Nie mogą dziś ludzie, wobec ciężkich czasów, popalić starych grátów, a kupić nowych. Nie odrazu powstaną w śródmieściu nowe domy, nie odrazu zaroją się okolice miast—willami podmiejskimi. A życie płynie z dnia na dzień. Nie można tylko czekać i nic nie robić. Trzeba się przygotowywać do wzniesienia domu jutra i trzeba w dzisiejszym mieszkaniu, takim, jakie kto ma, rozejrzeć się i zrobić ustępstwo na rzecz czasu, tylko dodatnie.

Chciałem w mych artykułach rzucić choć jeden promień z tego słońca wiedzy o architekturze i wnętrzach, by rozjaśnić mroki panujące, by obudzić zainteresowanie do tak żywej kwestji, jaką jest — pokój, gdzie mieszkamy. Jest to znikomy okruczek. Ale niech ta iskra oświeci nam drogę do jasnego jutra.

Zygmunt Knothé.



ZDOBIENIE ROŚLINAMI MIESZKAŃ I STOŁÓW JADALNYCH DAWNIEJ I DZIŚ

KILKA WSKAZAŃ

Słusznem jest zdanie, iż rośliny żywe wnoszą do mieszkań część czaru i uroku, jaki rozsiany jest w naturze. Nic też dziwnego, że w najdawniejszych już czasach kwiaty świeże stanowiły ozdobę sal, stołów i biesiadników przy różnych ucztach i zebraniach towarzyskich. — Ot. przypomnijmy sobie tylko zwyczaj rzymskie w prześlicznym opisie Sienkiewiczowskiego „Quo Vadis”. Czytając te opisy, zdaje nam się, iż czujemy woń rozrzuconych kwiatów, widzimy ich barwę i jakoś myśl i serce nam się rozjaśnia, rozwesela. Obecnie zdobienie mieszkań i stołów świeżymi kwiatami stało się prawie niezbędnem nie tylko przy wykwintniejszych i liczniejszych zebraniach, ale i w codziennym życiu. Zwyczaj to bardzo chwalebny, rozpowszechniony jednak mniej jeszcze u nas, niż zagranicą, gdzie każda, choćby w najwięcej ograniczonych warunkach żyjąca, rodzina pielęgnuje w domu jedną, czy kilka roślin doniczkowych, lub przynosi z pól i targów wiązanek choćby mniej okazałych i tańszych kwiatów.

Mieszkanie też najskromniejsze, w którym znajduje się przynajmniej jedna starannie pielęgnowana

roślina, nabiera już powabu, podczas kiedy wspaniałe umeblowane apartamenta, nieprzybrane kwiatami, przedstawiają się martwo, — bezdusznie. Jakis czas używano do dekoracji salonów, buduarów, jadalni i przedpokojów tak zw. makartowskich bukietów z zasuszonych traw i kwiatów, preparowanych liści palm i paproci, które przyczepiano nawet do obrazów i luster, a również kwiatów „sztucznych”, wyrobionych z płótna, papieru i parafiny.

W obecnych czasach zdobienie tego rodzaju kwiatami zdaje nam się nieładnem, nawet niewłaściwym i niepotrzebnem. Pocóż, bowiem, uciekać się do „przemysłu” kiedy natura daje nam wszystko, co zapagniemy! Niewiele nawet, stosunkowo, potrzeba nakładu pieniężnego, a tylko nieco starań i umiejętności, by mieć świeże kwiaty do zdobienia mieszkań i stołów.

Roślin żywych możemy używać do dekoracji w dwójakiej formie: albo w wazonach (doniczkach), a więc rosnące, lub cięte. Pierwsze — rozmieszczamy pojedynczo i grupami; drugie — w formie wiązanek i bukietów, układanych kłębików i żardynier i t. p., girland i festonów — zależnie od celu i okoliczności, do których są przeznaczone.

Zdobienie kwiatami i innymi roślinami żywymi, (o których tu wyłącznie mówić będziemy), powinno mieć pewien charakter, jak zresztą wszystko w życiu, o ile ma posiadać jaką wartość. Zmienił on się w porównaniu do dawniejszych lat znacznie, a właściwiej powiedziawszy: zupełnie. O ile, bowiem, za czasów naszych matek i babek ozdoby wszelkie roślinne nosiły cechę sztywności i jakby niewolniczości, o tyle teraz odznaczają się bezpretensjonalnością, pewną lekkością i swobodą, a chociaż podlegają, — podobnie, jak przedtem, — niektórym przepisom, to różnica polega na tem, iż obecnie reguły i formy nie odbierają i nie zatracają indywidualności charakteru roślin, ani osobistego zmysłu estetycznego i gustu wykonawcy, czy wykonawczyni.

Zwyczaj, raczej bieżąca moda, ta wszechwładna pani w różnych innych dziedzinach, nadaje i tu kierunek, wywiera swój wpływ przemożny. Chcąc — niechcąc, świadomie, lub nieświadomie, ludzkość idzie jednak za nią, i w danej epoce, czy czasie, zdaje jej się nawet niemożliwe postępować przeciw niej.

Istniał zwyczaj zdobienia świeżymi kwiatami i — przeszedł. Zapanowały suszone, robione i sztuczne rośliny, uzupełniane tylko w czasie wielkich przyjęć świeżymi kwiatami. Minęła i ta moda; nastąpił powrót do roślin wyłącznie żywych, do natury, i utrzymuje się i wielmożnieje, ale czy znów nie przejdzie, i czy moda nie wznowi co poprzedniego?! Wszystko to możliwe; jak bowiem słusznie powiedziała jedna z najlepszych znawczyń zdobnictwa kwiatowego p. Michalska: „wszystko to już było a, — ze zmianą zwyczajów — przeszło, by po jakimś czasie znowu wejść w życie, jako ostatnie słowo mody”.

Moda nie tylko wywiera swój wpływ na rodzaj materiału i na sposób wykonania dekoracji i układu kwiatów, ale nawet na ich rozstawienie, oraz dobór barw. Rozpatrzmy wpierw ostatnie, gdyż są one niezmiernie doniosłym, a może przeważającym czynnikiem dla osiągnięcia gustownej dekoracji.

Zdobienie, utrzymane w jednej barwie, albo w dwóch, uchodziło i uchodzi za najwięcej dystyngowane, choć mieszanina różnych kolorów w stylu „sielskim” przyjmuje się coraz więcej i powiedzieć można, że częstokroć — o ile jest dobrze zestawiona — wy-

gląda bardzo oryginalnie i ładnie. W każdym razie dekoracja dwu, czy wielobarwna powinna być oparta na znajomości barw i umiejętności ich stosowania.

Wogóle istnieją trzy barwy zasadnicze, czyli główne, mianowicie: czerwona, żółta, niebieska: oraz pochodne, czyli pośrednie: pomarańczowa, zielona i fioletowa, powstałe z tamtych. W sztuce malarskiej, bowiem, naprzykład, czerwony kolor, zmieszany z żółtym daje pomarańczowy, żółty z niebieskim wytwarza zielony, czerwony z niebieskim — fioletowy.

Z wymienionych barw jedne są tak zwane gorące; dają nam, bowiem, wyobrażenie gorących promieni słońca. Do tych trzeba zaliczyć: żółtą, czerwoną i pomarańczową. Inne — dające wyobrażenie cieniu, więc zimne są: niebieska, zielona, fioletowa.

Dekorując roślinami różnobarwnymi, zważać musimy przede wszystkim na harmonję kolorów, którą osiągamy przez odpowiednie zestawienie, raczej właśnie przeciwstawienie, t. j. kontrastowanie barw.

Na mocy obserwacji barw, zestawianych w tęczy (na niebie) można twierdzić, iż trzy barwy główne mniej harmonizują ze sobą, niż z barwami pochodnymi, i tak: czerwona harmonizuje z zieloną, żółta z fioletową i niebieska z pomarańczową.

Nie należy też zestawiać samych gorących, lub samych zimnych barw: pierwsze dałyby całość zbyt jaskrawą, drugie — bezbarwną i nużącą. Natomiast przez zestawienie jednego z drugimi osiągniemy dopiero pożądaną harmonję i efekt.

Można także uzyskać harmonję przez powinowactwo barw, zestawiając cienie w tym samym kolorze, od ciemnych do jaśniejszych.

Barwy biała i czarna, i tak samo — powstała z nich, szara uważane być mogą za neutralne, czyli zgodliwe, zgadzają się ze wszystkimi innymi, możemy ich, zatem, używać dla zharmonizowania kłócących się ze sobą barw. Za zgodliwą można też uważać barwę brązową jako powstałą z trzech barw głównych.

(d. c. n.)

Ob.

PIERWSZA POMOC W NAGŁYCH WYPADKACH

W wypadku uduszenia pomoc natychmiastowa tylko może uratować życie, po kilku minutach może już być zapóźno. Jeżeli przy uduszeniu znajdują się w jamie ustnej, lub nosowej, pozostałości czegoś, co spowodowało uduszenie (np. piasek), należy to bezzwłocznie usunąć, w razie zaś, jeżeli uduszenie nastąpiło wskutek zaciśnięcia sznurkiem — sznurek należy ostrożnie odciąć, stosować przytem sztuczne oddychanie i do wewnątrz podać środki nasercowe.

Niejednokrotnie daje się widzieć, po wyciągnięciu na brzeg topielca, zebranie się gromady ciekawych widzów. Nikt z pomocą nie śpieszy, o ile w tłumie nie znajdzie się policjant, harcerz, lub harcerka. Ludzie ciekawie, obojętnie, a bezmyślnie patrzą na śmierć człowieka. Tłum pozostaje bezradny, dzięki swej głupocie i słabemu poczuciu obowiązku. Należy to bezzwzględnie potępić. Przy dobrej woli i pewnej umiejętności można niejednokrotnie życie człowieka ocalić. Bardzo skuteczną pomoc okazać można w wypadku utonięcia, o ile jest pomoc natychmiastowa. Przede wszystkim trzeba oczyścić usta i nos z piasku, następnie ułożyć topielca na swym kolanie na brzuchu tak, aby twarz jego zwrócona była ku ziemi, i ugniatać klatkę piersiową, aby woda wyciekła, poczem stosować sztuczne oddychanie. Do wewnątrz dobrze jest podać czarną kawę, wino, do wachania amonjak, lub eter. Sztuczne oddychanie trzeba nieraz stosować przez parę godzin, zanim osiągniemy pożądaną efekt. Jeżeli chory nie może łykać, to trzeba zrobić zastrzyk podskórny z kamfory, lub kofeiny.

Zdarza się, że czasem dostanie się obce ciało do oka, lub ucha. Jeżeli do oka dostanie sięka wałek węgla, lub coś podobnego, to wystarczy oko przepłókać, aż to wypłynie samo, jeżeli zaś usadowi się pod powieką górną, płókanie nie pomoże, lecz wówczas trzeba powiekę odwinąć, pociągając rzęsy ku dołowi, w taki sposób, aby odrazu ją wyciągnąć i odwrócić.

Jeżeli dostanie się cokolwiek do ucha, to trzeba zawsze udać się do specjalisty. Wogóle w powyższych wypadkach najbardziej skuteczną i najlepszą pomoc dać może tylko specjalista, przez dłubanie nieumiejętne można spowodować kalectwo.

Oparzenia powstają wskutek zetknięcia się gorącego przedmiotu z ciałem. Oparzenie może wywołać tylko zapalenie skóry, albo jej zniszczenie. Zależnie od tego przy oparzeniach rozróżniamy 3 stopnie. Pierwszy — zabarwienie skóry, drugi stopień — pęcherz, trzeci — zniszczenie tkanki. Przy oparzeniu należy położyć opatrunek z wody Burova, lub oliwy, dobry wynik daje zmieszanie wody wapiennej wraz z oliwą, lub 3% maści borowej.

Przy oparzeniu skóra chora (oparzona) nie oddycha, jeśli oparzenie jest na większej przestrzeni, chory dusi się i umiera.

Za przykład może posłużyć fakt pożłocenia dziecka na uroczystość procesyjną w średniowieczu: dziecko owo umarło w męczarniach wskutek zatkania porów. Przy oparzeniach stosują się również kąpiele wodne. Nie wolno rozcinać pęcherzy, najwyżej przekłuć dobrze wygotowaną igłą i czekać, aby ściekł płyn, potem nałożyć opatrunek.

Wrazie jeśli oparzenie następuje wskutek zapalenia się ubrania, natychmiast należy gasić przez owi-

KSIĄŻKA

p. t.

„PISANKI”

mówi o pochodzeniu pisanek i tradycjach, z niemi związanych, oraz uczy, jak zdobić i czem barwić jajko wielkanocne.

Cena 1 zł. 50 gr.

Wysyła Administracja „Życia Praktycznego”, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

janie kocami. Następnie ubrania spalonego nie można zdejmować, lecz tylko ostrożnie rozcinać, by nie urazić — poczem jak najszybciej nałożyć wyżej wspomniany opatrunek.

Oparzenie może być od pioruna, lub, podobne w objawach — prądem elektrycznym. Pierwsza pomoc polega na zastosowaniu sztucznego oddychania, następnie założeniu opatrunku na oparzenie, w miejscu spalonem, następnie podawaniu środków nasercowych w postaci alkoholu, kamfory, kofeiny.

Porażenie słoneczne charakteryzuje się zaczerwienieniem twarzy, dusznością, bólem głowy, utratą przytomności. Pomoc polega na położeniu okładu zimnego na głowę i serce — do wewnątrz dużo zimnych płynów. Zmarznięcie spowodowane jest nadmiernym oziębieniem powierzchni ciała. Zmarznięty przedstawia obraz śmierci pozornej, twarz i kończyny zimne, nie oddycha. O ile oparzonego można od razu zlewać zimną wodą, o tyle nie wolno zamrożonych od razu wprowadzać do ciepłego pokoju, a powoli do sieni. Należy ostrożnie rozcinać ubranie, nacierać śniegiem, aż do rozgrzania, następnie dopiero stopniowo wnieść do ciepłej izby, dawać ciepłe okłady, a na serce cały czas podawać środki nasercowe.

Rozróżniamy dwójakiego rodzaju odmrożenia: ostre, gdy niezbędna jest pomoc doraźna, i chroniczne, tak zwane: odmrożony nos, ręce, które stale są sinawoczerwone i swędzą niepomierne.

Anemja, choroby płuc sprzyjają odmrożeniu.

Członki odmrożone stają się białe, najczęściej narażone są na to ręce, nogi i nos. Dla kobiet jest to prawdziwa plaga — odmrożenie nie zależy od obniżenia temperatury, ale przede wszystkim od wrażliwości skóry, wiatru i przemoczenia członków. Ludzie wrażliwi na zimno powinni smarować się tłuszczem. Odmrożenia bywają, tak samo, jak oparzenia, 3-ch stopni. Pierwszy stopień — tylko zaczerwienienie, drugi stopień — pęcherz, trzeci — zniszczenie tkanek.

Ratując przy odmrożeniu należy rozcierać członki w sposób, wyżej opisany, t. j. śniegiem powoli, przyłożyć maść, której receptę podaję.

Recepta na odmrożenie:

Rp. Ac. carbol 10,0; Vasel. flav. 100,0; M. f. nuq. S. b. cienko posmarować.

Zaczerwienienie nosa i rąk zdarza się najczęściej; lecz się kąpielami (kąpiele gorczycowe), przykładaniem już to gorących, już to zimnych okładów, obecnie z największym skutkiem stosuje się światłolecznictwo.

W końcu musimy zaznajomić się z mechanicznymi uszkodzeniami ciała w najogólniejszym tego słowa znaczeniu. Są to rany, stłuczenia, zwichnięcia, złamania, oraz naciągnięcia ścięgien. *Dr. med. Julja Świtalska.*



NIE MARNUJMY CZASU DAREMNI

Przebywając wiele zagranicą, w miejscowościach takich, do których w rozmaitych porach roku zjeżdża dużo anglików, miałam sposobność zaobserwowania ich sposobu utylitarnego, że tak powiem, spędzania czasu. A widziałam ich przecie tylko tam, gdzie ludzie jeżdżą zwykle na wywczasy i zabawę. Jakdyby obce im było zupełnie włoskie dolce far niente, które i pod naszym szarem niebem kwitnie znakomicie. Może dla osób innej rasy wydać się niesympatyczną taka celowość każdego kroku: spaceru, sportu, czy zabawy. Może się wydać czasami nawet śmieszna. Ale zaprzeczć się nie da, że oni nie tracą nigdy czasu na daremnie.

Między wielu innymi uderzył mnie fakt następujący: w parkach, na promenadzie, na plaży, w salonie, czy w hallu hotelowym, podczas siesty popołudniowej i wieczornej, nawet w sali jadalnej, między jednym daniem, a drugim, angielska ma ręce zajęte robotą. Grzeje się na słońcu, przypatruje innym, rozmawia, plotkuje, flirtuje, a w palcach jej migają druty, szydełko, lub igła. I nie jest to tylko monopolowym przywilejem dam starszych, lub nieco brzydszych...

Gdy cztery lata temu zobaczyłam to poraz pierwszy, zdumiałam się niepomierne. Śmieszył mnie widok pań, w tualetach wieczorowych, trykotujących z barwnej włóczki rozmaite części garderoby dziecinnej i nie dziecinnej, prowadzących przytem ożywioną rozmowę z wysmokingowanymi panami. Za przyjaźniejszy się z pewną angielską, zapytałam ją o powód tej, jak mi się wówczas zdawało, przesadnej pracowitości. „To przyzwyczajenie, które nam pozostało z czasu wielkiej wojny“ — odpowiedziała. „Podczas wojny, królowa nasza wezwała wszystkie kobiety angielskie, by w każdej chwili, wolnej od innej pracy, zajęły się sporządzaniem bielizny, ciepłych rzeczy i t. p. drobiazgów dla żołnierzy na froncie i dla ich rodzin. Weszło wówczas w modę szycie i szydełkowanie przy każdej, nadającej się do tego, sposobności. Na przyjęcia i jourfix'y panie przychodziły zawsze z robotami. Wojna minęła, ale przyzwyczajenie zostało. Niema żołnierzy na froncie, ale właśnie od czasu wielkiej wojny tyle się namnożyło biedy, tyle jest sierot i nieszczęśliwych, którym dopomóc trzeba, bo inaczej by zmarnieli. Więc pracujemy dalej i chyba już zawsze tak pracować będziemy, bośmy się do tego zanadto przyzwyczyły“.

Po tem, co z ust tej angielski usłyszałam, przestało mnie śmieszyć to ich uparte szydełkowanie; z podziwem i szacunkiem spoglądać zaczęłam na panie, robiące kaftaniczki i pończoszki dla jakichś nieznanych maleńkich istotek.

I przyszło mi na myśl: gdyby tak u nas w Polsce zechciał się przyjąć ten miły i pożyteczny zwyczaj! Ileż dobrego możnaby zrobić! Bez wielkiego zachodu, bez specjalnie na ten cel poświęcanych godzin. Poprostu tylko nie marnując czasu na siedzenie z założonymi rękami, gdy nic innego nie mamy do roboty.

Wyobrażam sobie, jak trudno będzie wprowadzić u nas ten zwyczaj, bo my, Polacy, mamy specjalny talent do nierobienia nic. Lubimy bezczynność. Ale przecie, gdyby tak sobie zadać trochę trudu i przyśmucha... Parę osób dobrej woli może oddziaływać na krąg

najbliższych znajomych, a kręgi te mogą coraz szersze zataczać koła.

Czy nie możnaby podczas poobiedniej kawy, czy herbatki, podczas wieczornej pogawędki wyjąć z eleganckiego bodaj woreczka kłębek wełny i szydełko, lub parę małych płatków skrojonej uprzednio koszulki, czy sukienki? Czy nie możnaby połączyć miłej rozmowy, słuchania muzyki, lub czyjegoś czytania z pożyteczną pracą rąk?

Czy, aby wziąć się do tego, trzeba nam wielkich wydarzeń, nadzwyczajnych katastrof? Biedni są zawsze i wszędzie; w żłobkach tulą się setki niemających nikogo istotek. Powie mi ktoś: towarzystwa dobroczynne, komitety... Zapewne. Są. Ale cóż one mogą bez naszej pomocy? I czy nie lepiej zamiast nagłego szukania po szafach i nerwowego przetrząsania szuflad, gdy do drzwi zapuka kwestarka o dar gwiazdkowy dla tego, lub owego żłobka, czy przytuliska—mieć już pod ręką gotowy pakiecik? I poco czekać tej chwili ostatecznej, gdy można, jak rok długi, powoli, systematycznie, ścieg za ściegiem, oczko za oczkiem przygotowywać dary dla potrzebujących?

Powie mi ktoś może, że to rzecz kosztowna? Ale tak powiedzieć może tylko ktoś niechętny. Bo przecie w każdym domu jest jakaś stara koszula, czy prześcieradło, z których można coś wykroić, są stare ponczochoy, z których można zrobić tak miękkie i ciepłe kaftaniczki dla niemowląt, są jakieś niezdatne do użytku flanele i barchany, wynoszone ubranka i sukienki, które można pięknie przerobić, są jakieś stare szale, które można popruć. A gdyby wkońcu przyszło i kupić jeden i drugi kłębek włóczki, to wydatek nie wielki, a tyle z tego można zrobić.

Pójdźmy więc śladami owych angielek i nie pozwólmy rękom ani na chwilę spoczywać nieprodukcyjnie. Niech w tym roku już jaknajwiększa ilość dzieci ucieszy się naszymi darami.

W. Z.



NA MARGINESIE KURSU NORMALIZACJI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W początku lutego, w samym karnawale, odbyły się zorganizowane przez Instytut Naukowej Organizacji Pracy, z inicjatywy Zjednoczonych Ziemianek i w ich lokalu kursy naukowej organizacji gospodarstwa domowego.

Zainteresowanie niemi było bardzo duże, jeżeli szczególnie uwzględnić, że był to czas zabaw i że godziny (6—8) są właśnie godzinami przyjęć popołudniowych, podwieczorków proszonych, dancinów i t. p. Przeszło 70 słuchaczek ze wsi i z miasta, młodszych i starszych, zapisało się na wykłady i z niesłabnącą uwagą i zainteresowaniem wysłuchało ich od początku do końca. Dowodzi to, że wykłady takie

były potrzebne i pożądane. O wykładach, jednak, samych muszę zrobić nieco bezstronnych, a koniecznych uwag.

W życiu wogólności, w gospodarstwie każdym, a w domowym, par excellence kobiecym, w szczególności, tylko te teorie mają rację bytu, które są poparte przykładami praktycznymi, albo natychmiast praktycznie mogą mieć zastosowanie, U nas, w Polsce, naukową organizacją pracy domowej, pierwsza zainteresowała i zajęła przewodnicząca Zjednoczonych Ziemianek, pani Aleksandra Grzybowska. Czytelniczki „Bluszczu” zapewne pamiętają jej artykuł o książce pani Fréderick, najbardziej znanej pionierki normalizacji pracy w Ameryce. Pani Grzybowska już około dwóch lat temu książkę tę przetłumaczyła na język polski, tłumaczenie było zrobione już z tłumaczenia francuskiego, wydać tę książkę i uzyskać autoryzację autorki miał Instytut Naukowej Organizacji. Ciągnęło się to tak długo, aż wróciła z Ameryki pani Romanowa, która tam osobiście poznała p. Fréderick i uzyskała od niej autoryzację na przekład z angielskiego. W rezultacie przekład pierwszy uzgodniono z angielskim oryginałem i książka ujrzała światło dzienne, z nazwiskiem pani Romanowej tylko, jako tłumaczki, czego pani Grzybowska, w swej nadzwyczajnej skromności, nigdy nie reklamowała, a co, zdaniem mojem, jest wyraźną krzywdą, jej wyrządzoną.

Otóż, kiedy dzisiaj każda kobieta polska może przeczytać tę książkę, uważam, że z metodami amerykańskimi poznać się może sama, a wszelkie szkoły, kursy, wykłady i t. p., o ile mają przynosić korzyść natychmiastową słuchaczkom, powinny dawać metody, przystosowane do naszych warunków życiowych, nie być „muzyką przyszłości”, jak je nazwała sama prelegentka.

Otóż nasza terażniejszość polska tak się różni od amerykańskiej i francuskiej, że trzeba całych miesięcy, lat może całych, umiejętnej, a zmuśnej pracy praktycznej, aby takie metody, takie ułatwienia pracy gospodarczej wyrobić i zastosować i dopiero niemi podzielić się ze słuchaczkami. Taką pracą zajmuje się od roku przeszło „Koło studjów gospodarstwa domowego”, założone przy Ziemiankach, lecz w danej chwili pracujące nad organizacją pracy w gospodarstwach miastowych raczej, (tak wiele rzeczy jest, właściwie wsi i miastu wspólnych!).

Koło to, biorąc sobie za wzór książkę pani Fréderick i kursa gospodarstwa domowego Paulette Bernège, wskazówki pisemka kobiecego „Mon chez moi” i t. p. stara się jednak wypracować własne sposoby, zastosowane ściśle do polskich potrzeb i warunków. I smutnym objawem jest, że tutaj, gdzie chodzi o zmuśną, trudną pracę, której rezultaty się okazać mogą po paru latach tylko, zainteresowanie szerszego ogółu pań jest minimalne. Gdy się ogłosi jakiś pokaz jakichś narzędzi, przyjdzie kilkanaście, lub nawet kilkadziesiąt słuchaczek—zwykle pracuje za ledwie parę kobiet, nie dających się zniechęcić tą dziwną obojętnością innych.

Kurs, wygłoszony przez panią Szumlakowską, wygłoszony z wielką znajomością rzeczy, (teorii reorganizacji pracy kobiecej), z wielką swadą, śliczną polszczyzną, (rzecz, którą muszę podkreślić, gdyż zbyt często prelegenci nasz piękny język kaleczą), był pierwszą jaskółką, zwiastującą przyszłą wiosnę dalszych takich kursów. Na przyszłość jednak — a jestem tu wyrazieliwą pragnień kilkunastu słuchaczek, z któ-

remi na ten temat rozmawiałam — kurs teoretyczny powinien koniecznie być połączony z pokazami praktycznymi, lub chociaż poparty praktycznymi przykładami. Tutaj należy udzielić głosu mniej może uczynnym, lecz doświadczonym siłom, aby nie było incydentów, podobnych do smażenia jajecznicy na szklanej patelni na odkrytym ogniu spirytusowej maszyny, (każda doświadczona gospodyni wie, że szklane naczynie można używać tylko na płytce azbestowej, podłożonej pod nie) lub też straty przeszło godziny czasu na pokaz przyrządów elektrycznych do gotowania, kiedy jesteśmy jeszcze w epoce, kiedy tej elektryczności wiesz, ani mniejsze miasta nie posiadają, a w większych miastach dopiero uczymy się obchodzić ze znacznie tańszym gazem.

Kiedy już wszystko mamy czerpać z Ameryki, to już pomyślmy raczej o kuchniach naftowych, tam powszechnie używanych, a u nas zupełnie nieznanymi; wszak nafty krajowej dobrej i niezbyt drogiej mamy dużo. Wykresy i tablice są rzeczą doskonałą dla nauki poglądowej, działają niezwykle przekonująco, rozwiązanie zadań na papierze też niewątpliwie przynosi korzyści, wiadomości, jednak, w ten sposób nabyte, zapominają się prędko. Jestem głęboko przekonana, że słuchaczki kursu dużoby więcej skorzystały z obejrzenia jednej, wzorowo urządzonej, istniejącej już kuchni, lub pralni, z obejrzenia jednej, już prowadzonej, a nie wątpię, że prelegentka taką prowadzi, i ją obejrzećby nam dała, niż z przerabiania poszczególnych zadań. Reasumując wszystko, chciałobyśmy, aby przyszłe kursy: 1) składały się jednocześnie z wykładów teoretycznych i czysto praktycznych; 2) aby były poparte przykładami, lub pokazami rzeczywiście praktycznymi, a nie reklamowymi; 3) aby były dostosowane do obecnych potrzeb i możliwości i były wygłaszane pod hasłem udoskonalenia, ułatwienia indywidualnych gospodarstw, nie skoszarowania ich, (wspólna kuchnia!!) danie możliwości kobiecie inteligentnej, coraz częściej pozbawionej pomocy służącej, prowadzenia gospodarstwa samej, stwarzanie przy skromnych środkach ogniska domowego, co, zresztą, jest i naczelną myślą amerykańską, Christina Fréderick, której książka dzisiaj niepodzielnie wszelkich nowatorów i nowatorek jest natchnieniem.

Pani Elżbieta.



JARZYNY NA PARZE

Niedużą, mniej więcej półkilową, główkę włoskiej, lub zwykłej, białej kapusty sparzyć, odcedzić i pokrajać w kawałki, wielkości włoskiego orzecha. Pół kilo marchwi, parę pietruszek, duży por, mały seler i ze dwie duże, najlepiej hiszpańskie, cebule pokrajać w paski. Do formy budyniowej włożyć na dno łyżeczkę sporą masła, na to ułożyć rzędami wszystkie gatunki jarzyn, każdy rząd lekko soląc. (Latem kapustę można zastąpić kalafjorami i dodać szparagów, groszku w ziarnach, lub strączkach, fasolki zielonej, lub szparagowej i t. p.). Na wierzch położyć dobrą, kopsiastą łyżkę bardzo dobrego masła. Formę szczelnie zamknąć pokrywą, wstawić w rondel z gotującą się wodą i gotować najmniej godzinę od chwili zagotowania. Parę godzin gotowania nie tylko nie szkodzi, lecz jeszcze czyni jarzyny delikatniejszymi. Wyłożyć gorące na półmisek i obłożyć kotlecikami z ryżu, z jaj, kotletami kartoflanymi, lub też, co najsmaczniej, grzankami z bułki, przysmażonymi na masle.

RYŻ Z JAJAMI

Dwadzieścia deka ryżu wsypać do rondelka, włożyć łyżkę masła i drobniuchno usiekaną sporą cebulę, postawić na wolnym ogniu i dusić, wciąż mieszając, aż ryż dobrze zżółknie. Zalać wodą, lub, jeśli jest, smakiem z jarzyn, i gotować wolno, często potrząsając rondelkiem, aby do dna nie przyszło. Wody nie lać dużo, lepiej podlewać od czasu do czasu, gdyż ryż, tak przyrządzony, powinien być suchy i sypki, osolić dopiero, kiedy gotów zupełnie. W płaskim rondlu zagotować wodę, mocno ją osolić, spuszczać na nią po jednym, rozbijając tuż nad wodą, dziesięć jaj najświeższych. Wyjmować każde, gdy tylko białko się zetnie, układać na sicie, lub na złożonej w kilkoro serwecie. Nie gotować długo, gdyż żółtka powinny być miękkie. Zrobić dwie szklanki czystego (bez śmietany) sosu pomidorowego. Na półmisku metalowym ułożyć połowę ryżu, na tem poukładać jajka, pokryć resztą ryżu, formując zgrabną kopułę. Polać całość sosem, osypać grubo jakim bądź ostrym tartym serem i wstawić na minut pięć do piecyka, na wyższą kondygnację, aby się ser rozpuścił i uformował skorupkę. Podawać gorące.

RYŻ Z JAJAMI INACZEJ

Ugotować dwadzieścia deka dobrego, karolińskiego ryżu na sypko, wkładając do wody, w której się gotuje, sporą łyżkę masła, osolić, gdy gotów. Ugotować dziesięć jaj w koszulkach, to jest włożyć je do wrzącej wody, gotować 4—5 minut, przełożyć natychmiast do zimnej. Gdy wystygną, zdjąć ostrożnie sko-

rupki. Białka powinny być doskonale ścięte, a żółtka zupełnie miękkie jeszcze. Zasmażyć łyżką mąki z łyżką masła na biało, rozprowadzić dwiema szklankami, (pół litra) dobrego mleka, lub słodkiej śmietanki, zagotować, osolić do smaku. Z ugotowanego ryżu zrobić rant wkółko półmiska, na nim poustawiać całe jaja, które, aby nie ostygły, należy trzymać w ciepłej (nie gorącej) wodzie od chwili oczyszczenia z łupinek. W środek wlać sos, wszystko osypać grubo ostrym tartym serem i natychmiast podawać.

KARTOFLE NADZIEWANE

Bardzo duże, równe kartofle, obrać cieniuchno z łupinek. Łyzeczką żelazną, okrągłą, specjalnie do wydrążania kartofli przeznaczoną, wydrążyć je tak, aby ścianki pozostały na palec grube. Co wyjęte z nich, ugotować w małej ilości wody, utrzeć, zmieszać z paru grzybkami, ugotowanymi, usiekanymi i przysmażonymi na masle z cebulką, dodać trochę masła, koperku, lub pietruszki, smak z grzybków i całe jajko. Osolić, popieprzyć, nadziać tem kartofle, przykryć wierzchami, które przed wydrążaniem ściać należy. Na brytfanie rozpuścić łyżkę masła, poukładać na to kartofle i upiec pod blachą. Przełożyć na półmisek i podawać bardzo gorące. Do nich podać oddzielnie masło śmietankowe, uformowane w kulki, lub też sos grzybowy ze śmietaną.

SUFLET Z KARTOFLI

Kilo obranych kartofli ugotować, przepuścić przez maszynkę, lub też utrzeć na tarce. Dodać łyżkę masła, szklankę mleka, lub śmietanki, osolić, dodać białego pieprzu, garstkę koperku, lub łyżeczkę utartego majeranku. Ucierać mocno, dodając po jednym trzy żółtka. Półmisek metalowy, lub nelsonkę wysmarować masłem, posypać bułeczką. Białka z jaj ubić na sztywną pianę, zmieszać z masą kartoflaną, ułożyć w ładną kopułę, posypać serem tartym po połowie z bułeczką i wstawić w piec dla zrumienienia. Do tego można podać w sosjerce masło topione, sos pomidorowy czysty, lub grzybowy ze śmietaną.

KLUSKI Z KASZY MANNY

Łyzkę masła utrzeć do białości, dodać dwa jaja całe, ucierać dalej, aż zbieleją, wlać dwie szklanki mleka i pełną szklankę kaszki manny, osolić, wymie-

ścić i postawić na stronę na parę godzin, aby kaszka wypęczniała. Przed podaniem zagotować w rondlu wodę, osolić, kłaść na nią łyżką metalową ładne kluseczki, przykryć pokrywą, gotować, aż spłyną na wierzch. Próbować, czy kaszka miękka, gdy gotowe, wyjmować łyżką durszlakową na wygrzany półmisek, polać masłem rumianem z bułeczką i gorące podawać.

„NOUGAT“ (czytaj nugat)

Trzydzieści deka cukru zalać wodą, aby objęło, gotować, aż się zacznie (zdmuchnięte z widelca) ciągnąć w nitkę. Uważać, aby się nie zarumieniło. Dodać dwadzieścia deka jasnego, lipowego miodu, zagotować raz tylko, odstawić na brzeg blachy, aby nieco przestygło. Ubić pianę z piętnastu białek. (piana ta powinna być tak twarda, aby pod palcem się tylko uginała). Dodać tę pianę do cukrowej masy, (rondel, w którym robimy ten nugat, musi być bardzo duży, gdyż przy mieszaniu masy z pianą, ta ogromnie rośnie).

Postawić na wolnym ogniu i mieszając drewnianą łopatką od dna i brzegów, gotować wolno całe dwie godziny. Gdy masa stanie się gładka i jednolita, wsypać do niej czterdzieści deka orzechów, migdałów i pistacji, doskonale ususzonych i pokrajanych w grube paski, wymieszać dokładnie, ułożyć na grubość palca na opłatek, przykryć drugim, przycisnąć deseczką. Gdy ostygnie, pokrajać ostrym nożem na dowolne kawałki.

TANIA I ŁATWA LEGUMINA.

Na pięć osób wziąć pięć łyżek jakichkolwiek, dających się łatwo rozetrzeć, konfitur: poziomek, truskawek, malin, galaretki owocowej i tyleż białek ze świeżych jaj. W misce glinianej ucierać drewnianą łyżką, wciąż kręcąc w jedną stronę, aż masy przybędzie ze cztery razy i stanie się jednolitą, gładką i połyskującą. Wcisnąć sok z całej cytryny i ucierać jeszcze z pięć minut, poczem przełożyć na półmisek formując ładną kopułę. Jeśli ją podajemy w codziennym użyciu, damy do niej mleko zimne, lub śmietankę.

Chcąc podać przy obiedzie proszonym, należy ją ubrać biszkoptami, lub makaronikami naokoło półmiska, po wierzchu ubrać konfiturami tegoż gatunku, z jakiego zrobiliśmy leguminę, i w sosjerce podać syrop odpowiedni, lub zimną śmietanką. *Pani Elżbieta.*

KSIAŻKA
p. t.

„STO POSTNYCH I JARSKICH DAŃ“

podaje niezwykle, smaczne i praktyczne przepisy postnych i jarskich potraw.

CENA 1 ZŁ. 50 GR.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

TOWARZYSTWO WYDAWN. „BLUSZCZ“, WARSZAWA, PLAC ZAMKOWY 99. KONTO P. K. O. WARSZAWA 13.555.

KORESPONDENCJE

Pani H. Z. z O. Paltocik najlepiej zrobić z piaskowego, lub granatowego lekkiego sukienka. Oleandry potrzebują chłodnego pomieszczenia, światła, ale niezbyt słonecznej wystawy. Sumienia jest firma Miller J. Bielańska 4. Inżynier Wojno jest przedstawicielem działu radiowego. Pismo wysyłamy prywatnym abonentkom we środy. Urzędowi pocztowym we czwartki każdego tygodnia. Wiadomy urząd prenumeruje 4 egzemplarze.

Pani Benicie. Prawdopodobnie musi być jakiś błąd w przygotowaniu płynu, ogólnie jest on bardzo chwalony.

Pani Z. T. Tekłów. Bawełny D. M. C. dostanie Sz. Pani w firmie Wegenko—Warszawa, Marszałkowska 153.

Pani M. S. pow. Konecki. Tytuły żądanych książek: Gospodarski chów drobiu—Trybulski. Hodowla trzody chlewnej—Karczewska. O żywieniu krów—Piętkowski. Hodowla krów—Kwasieberski. Adres kursów korespondencyjnych: Warszawa, Chmielna 33, Jędrzejewicz; na żądanie przysła Sz. Pani program.

Pani J. G. Słobódka. Drożdże najlepsze są fabryki „Henryków” kantor—Warszawa, Elektoralna 5—7. Bajorkiem haftuje się, ucinając bardzo ostrymi nożyczkami potrzebne kawałki i przyszywając je następnie cienką igłą i cienkim jedwabiem w oznaczonych miejscach.

Pani W. D. mej: Kotra. Na likier używa się całych, nie obieranych i nie krajanych mandarynek, wybierać trzeba jak najmniejsze, zresztą stosować się wzupełności do przepisu.

Prenumeratorce z Rytra. Farbuje się obecnie farbą, tak zwaną zimną. Sposób użycia—na opakowaniu. Plusz po wysuszeniu wyszczotkować pod włos, aby się nie pozlepiął. Radzę próbować koloru na kawałku, a dopiero po należytem dobraniu zamoczyć cały materiał. Zimnej farby dostać można w każdym składzie aptecznym.

Pani O: S: Kanień. Aplikację po nafastrygowaniu, przyczepia się dużymi ściągami wokoło. Dla gładkiego leżenia można w środku przykleić klejem, używanym do lepienia fotografii. Supelki robi się, okręcając kilka razy nitkę na igle i wkluwając ją za nitką. Sposób dokładny wykonania tego ścięgu znajdzie Sz. Pani w książeczce p. t. „Haft kolorowy”.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Fala. Bliznę usunąć można za jednym posiedzeniem, o ile blizna jest mała, większe—wymagają dwóch, trzech posiedzeń. Widocznie szanowna Pani czyta „Bluszcz” b. nieuważnie, gdyż książka moja „Piękność i Zdrowie w życiu kobiety” kosztuje 5 zł. i przed 2 miesiącami opuściła prasę — W każdym numerze „Bluszczu” jest o tem wzmianka.

Czytelniczce z Częstochowy. Na łojotok, węgry doskonale robi światło górskie. Kilka lub kilkanaście posiedzeń usuwa na długi okres czasu te przykre dolegliwości, należy tylko naświetlać umiejętnie. Piegów nazawsze usunąć nie można, najlepszy środek

działa tylko okresowo. Piegolin, środek na piegi, wysyłam za zaliczką, cena 10 zł. wraz z podaniem sposobu użycia. Światło górskie także tylko na pewien okres czasu może usunąć piegi.

Troskającej. 3 razy w tygodniu stosować na noc naprzemian gorące i zimne okłady z ryżu. Na litr wody gorącej łyżeczka ryżu. Codziennie wycierać na noc niżej podanym płynem. Myć twarz dwa razy dziennie mydłem liljowem i rano wcierać Mój Krem. Rp.

„ Resorcini on 1,0
„ Spir. vini 50,0

Mydło liljowe 3, 50. Mój Krem 6, porto 1 zł. Adresować należy Krucza 31 m. 3.

Radomianka. Z objawów opisanych nie mogę się zorientować, z jakiego rodzaju cierpieniem skóry ma się do czynienia. Wobec tego trudno jest podać racjonalne leczenie. Prawdopodobnie przyczyna jest w wadliwej przemianie materji. Zachodzi konieczna potrzeba dać się zbadać przez lekarza specjalistę, w Radomiu jest dużo dobrych specjalistów.

Róża Lwów i Madzia R. Ziółek na schudnięcie bez badania nie polecam.

Kozakowi. Proszę przeczytać ogólną odpowiedź na łojotok. Nr. 11, z dn. 12/III b. r.

Mary. Na plamy na twarzy proszę użyć na noc Piegolin, a na dzień Mój Krem. Dr. med. Julia Świtalska.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:
palto, lub suknia fantazyjna zł. 3,50
suknia zwyczajna „ 2,50
bluzka „ 2,00
formy dziecinne „ 2,00
bielizna „ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KSIĄŻKA
p. t.
„100 Postnych i Jarskich Dań”
podaje niezwykle, smaczne i praktyczne przepisy postnych i jarskich potraw.
CENA 1 zł. 50 gr.
Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.
Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.
Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Komplety Tkactwa
Ręcznego Artystycznego
PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU ROBÓT W „BLUSZCZU”.
INFORMACJE TELEFONICZNIE do g. 10-ej rano i od 3 do 5 pp.
TELEFON 273-34.